Nr. 27. Warszawa, dnia 26 Czerwca (8 Lipca) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



Burza w Belgii.

Od początku przeszłego tygodnia Belgia daje z siebie ciekawe dla całej Europy widowisko. W Izbie poselskiej stronnictwa wolnomyślne wszelkich odcieni tamują obrady nad wnioskami rządowymi: obrzucają ministrów słowami czerpanemi ze słownika gniewu chwytającego za nóż; posłowie przyskakują do siebie z pięściami i porywają się za bary; zwykłem przezwiskiem prezesa ministrów, Van den Peerebooma, jest „łajdak lub wisielec“; prezes Izby dla bezpieczeństwa siedzi po za żywem ogrodzeniem z piersi kwestorów i posłów klerykalnych; dzwonek zachrypł, a kapelusz utracił resztę swych skrzydeł od ciągłego przysiadania na prezydyalnej łysinie; siła zbrojna robi porządek na trzymających z opozycyą galeryach i tylko czekać, jak wkroczy i do Izby; na kurytarzach, w salach wypoczynku i pracy piekielny rozgardyasz; u podwoi zewnętrznych policya chwytająca posłów przed czteroma i pięcioma laty poskazywanych — za jakieś błahostki; pod oknami tłum ludu, pasującego się z policyą, nacieranie z białą bronią i strzelanina; dalej, w głębi miasta, zbiegowiska wojenne, rewolwery i noże, kamienie wyrywane z bruku i pieśni rewolucyjne wyrzucane z rozognionych piersi; barykady, walka, szturm, zdobywanie i rozrzucanie improwizowanych szańców; a po tem wszystkiem pochód kilkudziesięciu tysięcy ludu po ulicach miasta w nastroju wrogim dla ministrów: to wypadki brukselskie z dn. 26—30 czerwca.

O co poszło? O prawo wyborcze, które ministrowie klerykalni, od lat siedmiu u steru stojący, wnieśli na sejm, a którego opozycya sejmowa wolnomyślna nie chciała dopuścić pod obrady. Do tego celu użyto zwykłej, powszechnej dziś w świecie europejskim metody tamowania obrad bez względu na ich przedmiot — środkami dobieranymi bez względu na prawo, powagę i przyzwoitość parlamentarną. Zarzucano sejmom polskim ich zwady i hałasy: to, co po dwuwiekowym blizko (bierzemy czasy Augusta II) postępie za dni naszych dzieje się w Wiedniu, Peszcie, Rzymie, w Paryżu nawet, a teraz w Brukselli, nie jest chyba od wybryków namiętności politycznej u nas lżejszem, a zupełne ustanie funkcyj prawodawczych w Wiedniu pozwala mniemać, że dzisiejsze burze gorsze są nawet od dawniejszych: niema zrywania sejmów przez *liberum veto* jednego, ale jest ubezwładnianie ich przez „nie pozwalam“ całych stronnictw. A pod względem obyczajowym czyż owo porywanie się do szabli, choćby nawet rąbanie się, nie było czemś przyzwoitszem, wdzięczniejszem, od bijatyk i wymysłów, jakiemi tylko najniższe, niecywilizowane warstwy wrogie napięcie ducha swego objawiać zwykły? Niema nic nowego pod słońcem — i słońce dawne i dawny pod niem człowiek, a namiętność polityczna przez swą moc oślepiającą równie dobrze żywiołową stać się może, jak i każda naturalna, fizyologicznie w gruncie natury rosnąca.

Ministrowie rządzący Belgią, podejmując reformę wyborczą, która miała uciszyć, jeśli nie zaspokoić rdzennie, domagania się wolnomyślnych—postąpili niegodnie i musieli też wywołać oburzenie. Sięgnąć tu potrzeba do r. 1893, kiedy wytwarzano nowe prawo wyborcze. U steru stali tak samo klerykalni. Odrzucili oni zarówno przedstawiennictwo interesów, jak i szwajcarskie *referendum* — jedno i drugie wypisane na sztandarze postępowym: odrzucili i proporcyonalność wyborów, czyli uprawnienie mniejszości; nie chcieli słyszeć o głosowaniu powszechnem w 21 roku życia, ani też o angielskim *houshold*, który czyni prawo zależnem od pewnej wysokości komornego. W głowach klerykalnych powstały takie projekty, jak: Coomansa, uprawniający $^1/_{10}$ ludności męzkiej w gminie; Woestego, łączący uzdolnienie i census 10-frankowego podatku w podstawę czynnego prawa wyborczego; Coremansa, powołujący od 25 roku życia wszystkich, a od 40 zaopatrujący w drugi głos; wreszcie Nyssensa, wprowadzający wielogłosowość według stopnia inteligencyi i zamożności. Ten ostatni utrzymał się, jest dziś obowiązującym. Wytworzył on 1,200,000 obywateli, w tej liczbie 700,000 dubeltowych.

Pod rządami klerykalnego prawa ciężko było żyć postępowcom. Żądania ich były tak natarczywe, że sam król Leopold II zajął się niemi i z jego woli ministrowie podjęli niby reformę w duchu niby żądań przeciwników. Cóż się jednak stało? Z kozła zrobili barana. Mieli poprawić los przeciwników; poprawili swój własny. Wprowadzając proporcyonalność wyborów, ograniczyli się na tych siedmiu większych miastach Belgii, w których sami mieli mniejszość: dla siebie samych więc działali. To oburzyło, oburzyć musiało opozycyę, i dziwić się tylko potrzeba, jak łatwo król o własnej swej inicyatywie zapomniał. Kiedy tak jeden obóz zbroił się na nową walkę, drugi nie zasypiał gruszek w popiele. Porozumiały się między sobą stronnictwa opozycyjne i postanowiły nie pozwalać na nową krzywdę, nowe cofnięcie rozwoju społeczno-narodowego. Stanęło porozumienie, ogarniające ogólniejszą dziedzinę stosunków rządowych, nie samo tylko prawo i funkcyę wyborczą. Porozumiano się w 4 punktach: głosowanie powszechne i wy-

bory proporcyonalne; uprawnienie w 21 roku życia; służba wojskowa powszechna, zwalczana przez radykalnych, z uporem złych patryotów; prawodawstwo polepszające los robotników. Taki program był podściełskiem wszystkich dotychczasowych manifestacyj, a nad przeprowadzeniem projektu klerykalnego wisi groźba ogólnej zmowy w d. 5 lipca. Po burzliwych scenach w sejmie i po za sejmem w d. 28 i 30 z. m. w końcu posiedzenia drugiego z powyższych dni Van den Peereboom zapowiedział układy pojednawcze, przez samą opozycyę wskazane już jako droga do spokojnego wyjścia: czy zapowiedzi dotrzyma? Jeśli nie — przewidywać można nawet rewolucyę. Deputacye wielkich miast ostrzegły króla wcale nie dwuznacznie.

Tydzień polityczny. W Hiszpanii ostatni tydzień czerwca i pierwsze trzy dni lipca zamącone były oporem ludu po miastach przeciwko nowym podatkom, którymi rząd pokryć chce nietylko spłatę długu kubańskiego, zwalonego przez Stany Zjednoczone na Hiszpanię, ale i wzrosłe wymagania budżetu wojennego, mającego po nieszczęśliwej wojnie przycisnąć kraj brzemieniem większem, niż przed wojną. Nowa stopa pokojowa przewyższać ma o dwadzieścia kilka tysięcy jednostek zbrojnych dawniejszą: państwo ogołocone z kolonij, zamknięte już w samej Europie, uwojennia się, na swem położeniu geograficznem nie polega, chce mieć jak najsilniejszą obronę we własnej sile. Rząd, pewny większości kortezów i opinii publicznej, odrzucił przedstawienia Izb handlowych i przemysłowych. Na pomorzu wschodniem, najruchliwszem, najmniej zagrzęzłem w niemrawość i niedołęztwo umysłowe, wrzenie jest silnem; na północy karliści nie przestają nurtować; u steru niema ludzi, którzyby umieli zlikwidować wielkość powierzchowną, połyskliwą a czczą, jaką jej przekazał Filip II swym następcom i przeprowadzić pracę wewnętrzną, dającą rzeczywistą siłę, a z siły życie Społeczne odrodzenie Hiszpanii nie weszło nawet jeszcze w program ciężkich znojów nieszczęśliwego narodu.

We Francyi sejm rozszedł się już na letni wypoczynek. D. 26 czerwca przemówienie Brissona za rzeczapospolitą, zagrożoną niebezpieczeństwami, wielce przyczynić się miało do wytworzenia większości; jeżeli tak jest w istocie, to słaba ta większość mogła jeszcze była okazać się mniejszością, a wtedy gabinet Waldeck-Rousseau wędrowałby już dzisiaj po Polach Elizejskich. Obliczenie głosów ostateczne daje w większości z d. 26 z. m. 158 radykalnych, 78 nieradykalnych republikanów, 26 socyalistów i 1 monarchistę, jakąś wybitną indywidualność — razem 263; w mniejszości 107 republ. umiark., 39 wichrzycieli *de la Boulange*, nazywających się *nationalistes* (narodowcami), 78 monarchistów, razem 224 nieprzyjaciół rzeczypospolitej; do nich przyłączył się jeden socyalista. Od głosowania wstrzymało się 29 republikanów umiarkowanych, 25 radykalnych i 19 socyalistów — razem 73. Wogóle na 561 obecnych w Izbie republikanów rdzennych radykalnych było 183; nieradykalnych wraz z tymi, którzy wstrzymali się od głosowania, 107; socyalistów 46 — w całym obozie rzeczypospolitej 336; w przeciwnym 225. Stosunek 3 do 2 daje siłę wcale poważną—samej rzeczypospolitej, ale nie gabinetowi Waldeck-Rousseau'a, który za to znalazł poparcie bardzo silne w senacie, gdzie większość 187 przeciwko 25 wyraziła mu swe zaufanie.

W czerwcu Francuzi uwięzili pod Nizzą systematycznego szpiega włoskiego, generała Gilettę i skazali na kilkoletnie więzienie.

Dreyfus d. 30 z. m. przywieziony do Quiberon, na południo-zachód od Rennes, gdzie już osadzony w więzieniu. Proces prawdopodobnie dopiero w końcu lipca.

Chamberlain miał w Birmingham na początku przeszłego tygodnia mowę nadzwyczaj gwałtowną przeciw Transwalowi. Zaraz potem zaczęły odpływać posiłki do Afryki.

Cesarz austryacki na mocy § 14 konstytucyi z r. 1867 nakazał pobierać podatki i wykonywać budżet w drugiej połowie roku. Jest już zdrów, wyjechał do Ischl.

Sejm cesarstwa odroczony. Izba poselska sejmu pruskiego ma być rozwiązaną. Cesarz ma za złe ministrowi von der Recke, że mu nie dał lepszej, minister dał jak najlepszą, bo jak najbardziej zachowawczą: nie jego wina, że się benjaminki wzburzyły. Mówią o zmianach ministeryalnych. Cesarz z Herbertem Bismarckiem miał tajemniczą jakąś rozmowę.

W Hadze, nie mogąc na teraz jeszcze rozbrojenia uchwalić, wyrażono przynajmniej pragnienie lepszej przyszłości. Konferencya zbliża się do kresu.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

CHATA WIEJSKA.

II.

Przepisy zalecające odbudowywanie wsi, osad i miasteczek po pożarach z zachowaniem wszelkich warunków bezpieczeństwa, są środkiem bardzo zbawiennym; chcąc wszakże, ażeby ludność całego kraju odczuła to dobrodziejstwo, trzeba byłoby... spalić wszystkie wsie, osady i miasteczka. Wprawdzie mogą one z czasem się spalić z przyczyn wypadkowych, gdyż na każdym kroku widzimy pogwałcenie warunków bezpieczeństwa, mamy zaś bardzo słabe środki obrony zorganizowanej. Ale na to, bądź co bądź trzeba czekać jeszcze pewną liczbę lat, przytem owe przepisy nie są właściwie zastosowane w życiu, pozostają dotąd tylko w formie wniosków czy też projektów; spalone zaś siedziby ludzkie są odbudowywane ściśle według rutyny i zwyczajów dawnych. Sąsiedzi np. przez oszczędność budują ściany wspólne dwu domów. W taki sposób była zbudowana zamożna wieś Wielgolas, (w pow. Nowomińskim), która przed paru laty spłonęła doszczętnie i kiedy zaczęto ją odbudowywać, trzeba było użyć bardzo gorących i wymownych argumentów, ażeby mieszkańców przekonać, że system dawny jest zgubny i niebezpieczny.

Taki stan rzeczy, grożący klęską masom ludności, dałby się zmienić zupełnie na dobre po wprowadzeniu zasadniczych reform i ulg. Fundusz ubezpieczeniowy ludności włościańskiej w Królestwie Polskiem wynosi przeszło milion rubli. Dotychczas, nie przynosi on prawie żadnej korzyści krajowi. Otóż należałoby z tego funduszu udzielać kredytu tym włościanom, którzy zechcą budować domy murowane, z zachowaniem wszelkich warunków hygieny i bezpieczeństwa. A więc

---

Rudyard Kipling.

ELŻBIETA.

Opowiadanie indyjskie.

Była córką górala Sonnuha i jego żony Jadehy. Pewnego roku nie urodziła im kukurydza, a nadto dwa niedźwiedzie spustoszyły jedyny ich zasiew maku w dolinie kotgarskiej. Wskutek tego przyjęli chrześciaństwo wraz z córeczką; kapelan z Kotgaru dał dziewczynce imię Elżbiety.

Po jakimś czasie cholera wtargnęła do doliny Kotgaru i zabrała Sonnuha i Jadehę. Elżbieta znalazła umieszczenie u ówczesnego kapelana miejscowego. Była napół służącą, napół towarzyszką jego żony.

Nie wiem, czy dawni bogowie tak nią opiekowali się, czy też nowej wierze należało to przypisać, dość że Elżbieta zabłysła wielką pięknością. A gdy góralka jest bardzo piękną, to warto jechać pięćdziesiąt mil złemi drogami, aby ją zobaczyć. Elżusia miała grecką twarz, jedną z tych, które tak często się maluje, a tak rzadko widzi. Cera jej była jak blada kość słoniowa, wzrost, na jej szczep. niezwykły. Prześliczne oczy; a gdyby nie obrzydliwy strój, odpowiadający smakowi misyj, spotkawszy ją niespodzianie, możnaby wziąć ją za Dyanę we własnej osobie, wybierającą się na łowy.

Elżbiecie chrześciaństwo przypadło do smaku i nie wyrzekła go się dorosłszy, jak czyni to wiele dziewcząt góralskich. Jej rodaczki nienawidziły jej, gdyż przyjęła angielskie zwyczaje i myła się co dzień; a żona kapelana nie wiedziała, co z nią począć. Ostatecznie trudno zastawić wysmukłą boginię do mycia talerzy i szklanek. Więc Elżbieta bawiła się z jej dziećmi, uczęszczała do szkoły niedzielnej i czytała wszystkie książki, jakie jej dostały się do rąk i stawała się z każdym dniem coraz piękniejszą, jak księżniczki z bajek. Żona kapelana sądziła, że powinnaby wziąć w Simli miejsce piastunki, ale Elżbieta nie okazywała do tego chęci. Czuła się dobrze bez zajęć.

Gdy podróżni, w owych czasach mniej liczni, przybywali do Kotgaru, Elżbieta zamykała się w swoim pokoju, bo obawiała się, że mogliby ją zabrać ze sobą do Simli *) albo gdzieindziej w obcy świat. Pewnego dnia, w parę miesięcy po skończeniu siedemnastu lat, Elżbieta odbywała przechadzkę. Nie była to przechadzka angielskiej damy: półtora kilometra w jedną stronę i tyleż z powrotem. „Dyetyczne spacery" młodej dziewczyny obejmowały dwadzieścia i trzydzieści mil angielskich, zapuszczała się bowiem daleko od domu. Tym razem wróciła o późnym zmroku i zeszła stromym stokiem ku Kotgarowi z jakiemś ciężkiem brzemieniem na rękach. Kapelanowa właśnie zdrzemnęła się w swoim pokoju gościnnym, gdy weszła Elżbieta zadyszana i zmęczona. Złożyła swój ciężar na sofie i rzekła poprostu: „To jest mój mąż. Znalazłam go na drodze do Bagi. Skaleczył się. Będziemy go pielęgnować, a gdy wyzdrowieje, małżonek pani da nam ślub."

Była to pierwsza wzmianka Elżbiety dotycząca zamiarów małżeńskich i srodze przestraszyła kapelanową. Tymczasem mężczyzna na sofie potrzebował rzeczywiście pomocy. Był to młody Anglik, miał głowę skaleczoną czemś ostrem aż do kości. Elżbieta powiedziała, że znalazła go przy pewnej skale i że stamtąd go zabra-

---

*) Miasto u podnóża Himalajów.

domy takie powinny mieć: przestronne izby, duże widne okna otwierane, stać zdala od wszelkich innych zabudowań, jak stodół, chlewów itd. Każdy gospodarz powinien być oddzielony od sąsiada ogrodem zadrzewionym, ażeby tem łatwiej można było przeciąć ogień w razie pożaru. Kredyt na zabudowanie się według takich wymagań powinien być bardzo przystępny, na warunkach spłaty długoletniej. W ten sposób rozwinąłby się przemysł cegielniany, zwłaszcza że kraj nasz obfituje w glinę. Mogliby nawet sami włościanie zakładać spółki cegielniane, których celem byłby wyrób cegieł i dachówek na wznoszenie domów mieszkalnych. Przemysł ten mógłby się rozwinąć również przy pomocy kredytu. Za granicą przemysłowe spółki włościańskie są zjawiskiem powszednim. W Czechach np. istnieją dużo cukrownie akcyjne, oparte na drobnych akcyach włościańskich. Należą do nich także plantatorowie buraków — włościanie. Otóż u nas cegielnie, jako własność jednej lub paru wsi, chyba nie byłyby przedsięwzięciem trudnem do wykonania i utrzymania. W ten sposób powoli można byłoby zamienić wsie drewniane na murowane i usunąć, a przynajmniej złagodzić, straszne dwie klęski, niszczące kraj cały: pożary i choroby epidemiczne.

Oczywiście za tą reformą i temi ulepszeniami poszłyby inne, jak ochrony wiejskie, mające za cel opiekę nad dziatwą pozostawioną samopas przez rodziców podczas robót, co także jest przyczyną pożarów. Przedewszystkiem jednak należałoby opracować i wprowadzić w życie ustawę budowlaną, która nakazywałaby włościanom wznoszenie domów i zabudowywanie wsi według ściśle nakreślonych planów. Wykonanie jednak tej ustawy nie powinno być najeżone formalistyką, wpływającą na zwłokę, mitręgę i powiększenie kosztów. Należy przepisy zredagować w ten sposób, ażeby nie było tam żadnych haczyków, na których ludzie złej woli mogliby zawiesić własny interes i obarczyć ludność włościańską nowym ciężarem ubocznym.

Co do zadrzewienia wsi tak, ażeby każda gospoda była oddzielona — sprawą tą powinno gorliwie się zająć Towarzystwo ogrodnicze. I tutaj obok wskazówek i rad, pomoc przystępna byłaby bardzo skuteczną. Widzieliśmy wsie podolskie i ukraińskie, tonące w zieleni drzew owocowych. Każdy włościanin ma tam piękną siedzibę, godną pozazdroszczenia w lecie. We wsiach takich ludzie są zdrowsi, niż gdzieindziej, a klęski ogniowe rzadziej ich trapią niż tych, którzy nie mają ani jednego drzewka przy swoich siedzibach.

Zabiegi tedy około uzdrowotnienia i zabezpieczenia wsi naszych od klęsk wszelakich są doniosłem zadaniem społecznem, które powinno wyjść przedewszystkiem z inicyatywy ogółu oświeconego. Zadanie to wszakże nie jest łatwem, wymaga bowiem wielkich starań i pracy zbiorowej, a co najważniejsza — uświęcenia reform i ulg przez sfery prawodawcze. Ustawa budowlana, kredyt na wznoszenie domów nowych i zakładanie cegielni spółkowych — to są warunki podstawowe, bez których wszelkie najlepsze i najgorliwsze usiłowania będą jałowe.

Niechże „ankieta,“ obmyślana przez p. Rakowieckiego, wprowadzona zaś w życie racyonalnie, jak wskazaliśmy w artykule poprzednim — zbierze dane do opracowania przedewszystkiem źródłowego memoryału, który powinien zawrzeć także nasze wnioski i rady.

Sprawę przeciwdziałania pożarom w związku ze stanem chat wiejskich poruszono niedawno w Cesarstwie. Środki zaś zalecane w tej mierze mogłyby być zastosowane również i u nas. Ziemstwo połtawskie na podstawie obfitych danych statystycznych doszło do wniosków następujących. Przyczyną wpływającą na ilość i rozmiary pożarów są dachy, przeważnie słomiane. Materyał użyty na budowę ścian ma w tej mierze podrzędne znaczenie. Nawet ściany murowane, jeżeli stoją pod słomą, nie zabezpieczają wcale domów od ognia. Przeciwnie — nawet mniej są one oporne, niż drewniane lub chróściane, oblepione gliną. Na zjeździe „ogniowym“ r. 1892 p. Amburgier w referacie swoim zaznaczył, że jeżeli za jednostkę przyjmiemy straty ogniowe w domach murowanych, krytych blachą, to budynki pod słomą dadzą 18 razy większe straty; a więc są 18 razy niebezpieczniejsze, niż kryte blachą. Na podstawie tych danych połtawskie ziemstwo gubernialne postanowiło zająć się rozpowszechnieniem śród włościan dachówki, zwłaszcza że blacha jest zbyt droga, a strzechy polewane roztworem gliny lub zrobione z maczanych snopków przed poszywaniem (sposoby: litewski, krasnoufański i nowogrodzki) nie są praktyczne. Powstał więc projekt wybudowania kosztem ziemstwa jednej lub kilku fabryk do wyrabiania dachówki, w których każdy włościanin mógłby zrobić sobie tyle tysięcy sztuk dachówek, ile mu potrzeba na pokrycie zabudowań. Ziemstwo opłacałoby instruktorów: każdy zaś, robiąc dla siebie dachówkę, niby nie płacił za materyał. Główne kierownictwo fabrykami obejmie zarządzający wzorową garncarnią, utrzymywaną również kosztem ziemstwa, w celu podniesienia tej gałęzi przemysłu. Instruktor ten dokonał wielu prób i doświadczeń dla określenia wartości gliny na dachówkę.

Jest więc całkiem gotowy projekt, któryby dałby się wybornie w praktyce zastosować na naszym gruncie. Nie mamy wprawdzie ziemstwa, ale mamy inne instytucye, które mogłyby zająć się tą sprawą.

Z NIEMIEC.

Berlin, 2 lipca.

Powrót do Kanta i Langego. R. Owen jako patron obecnej doby. — Wykształcenie estetyczne w szkole.

Myśl społeczna Niemiec przechodzi od lat kilku stan generalnej rewizyi. Jednocześnie z gorączkową humanitarną działalnością na wielką skalę odbywa się poszukiwanie nowych punktów wyjścia i przesłanek, nowych prawd teoretycznych, któreby bardziej odpowiadały nabytym w toku działalności doświad-

---

ła bezprzytomnego. Oddychał nieprawidłowo. Położono go do łóżka, a kapelan, który posiadał nieco wiadomości lekarskich, zarządził, co należało. Tymczasem Elżbieta czekała za drzwiami na wypadek, gdyby potrzebowano jej. Oświadczyła kapelanowi, że to jest mężczyzna, którego chce poślubić, a kapelan i jego żona upomnieli ją surowo za podobnie niedorzeczny pomysł. Elżbieta wysłuchała spokojnie, potem powtórzyła swe słowa. Potrzeba bardzo grubej warstwy chrześciaństwa, aby powlec pewne wschodnie instynkty, jak naprzykład zakochanie się od pierwszego wejrzenia. Ponieważ Elżbieta znalazła człowieka swego serca, więc nie widziała, czemu miałaby o tem milczeć. Nie czuła też najmniejszej chęci ustąpienia perswazyom.

Po dwutygodniowej gorączce Anglik wrócił do przytomności i dziękował kapelanowi i jego żonie, jako też Elżbiecie — zwłaszcza Elżbiecie — za ich dobroć. Opowiadał, że przybył z Dehra Dun zbierać w górach Simli rośliny i motyle. Sądził, że musiał upaść ze skały w chwili, gdy chciał ściąć paproć rosnącą przy zmurszałym pniu drzewnym; jego posługacze zaś, widząc to, drapnęli w świat z pakunkami. Odzyskawszy nieco sił, wróci do Simli, stracił bowiem chętkę chodzenia po górach.

Przychodził zwolna do siebie i zdawał się nie mieć szczególniejszej ochoty do wyjazdu. Elżbieta odrzucała z największą stanowczością rady i napomnienia swych opiekunów; ci zdecydowali się przeto pomówić z Anglikiem i opowiedzieli, jak ma się rzecz z sercem dziewczyny. Botanik roześmiał się serdecznie i odparł, że to jest bardzo ładne i romantyczne: że to prawdziwa sielanka himalajska; ale ponieważ on w kraju jest zaręczony, więc sądzi, że ta sprawa szybko rozchwieje się, zwłaszcza gdy będzie okazywał należną obojętność. Tak czynił. Mimo to uważał przez cały czas wyzdrowienia za bardzo przyjemne gwarzyć z Elżbietą, chodzić z nią na spacer, mówić jej ładne rzeczy i dawać pieszczotliwe nazwiska. Dla niego nic znaczyło to nic, dla Elżbiety wszystko. Czuła się bardzo szczęśliwą przez te dwa tygodnie, znalazła bowiem męża swego serca.

Ponieważ była dziką z urodzenia, więc nie starała się ukrywać swoich uczuć, a Anglika bardzo to rozweselało. Gdy odjeżdżał, Elżbieta odprowadziła go pod górę aż do Narkundy, bardzo nieszczęśliwa i bardzo zgnębiona. Żona kapelana, jako dobra chrześcianka i osoba wielce bojąca się skandalu i gwałtownych scen, prosiła Anglika — Elżbietą niepodobna już było teraz kierować—aby powiedział dziewczynie, że wróci i ją poślubi. „To jest jeszcze dziecko — mówiła — a nadto boję się, że w głębi duszy do dziś została poganką.“ Poszedł więc Anglik dwanaście kilometrów pod górę, otoczywszy ręką kibić Elżbiety i zapewniając ją wciąż, że wróci i z nią się ożeni. A Elżbieta kazała powtarzać sobie nieustannie to zapewnienie. W końcu stanęła płacząc na wyżynie Narkundy i patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu.

Potem otarła łzy, wróciła do Kotgaru i rzekła swej opiekunce: „On wróci i poślubi mię, on poszedł do swoich, powiedzieć im to.“ A opiekunka pocieszała dziewczynę i mówiła: on wróci. Po dwóch miesiącach Elżbieta jęła niecierpliwić się, oświadczono jej wówczas, że Anglik pojechał morzem do Anglii. Miała pewne wiadomości z geografii, wiedziała tedy, gdzie leży Anglia, ale naturalnie nie miała pojęcia o tem, co to jest morze, była bowiem córką gór. W domu znajdowała się stara zabawka: składana z kawałków drzewa mapa świata. Elżbieta, która bawiła się nią będąc dzieckiem, wyszukała ją pewnego wieczora, rozpłakała się nad nią i sta-

czeniom, bardziej harmonizowały z nastrojem horyzontu, jaki odsłonił stopniowo rozwój historyczny. Wśród budowniczych i murarzy, zajętych wzniesieniem nowego gmachu teoretycznego, rozległo się niespodzianie, jak przed ćwierć wiekiem, magiczne hasło: „Zurück auf Kant!“ „Wracajmy do Kanta!“ — zawołano nie do nieśmiertelnego geniusza, który po raz pierwszy określił granice naszego poznania, lecz do uczonego, który postawił drogowskazy „praktycznego rozsądku.“ Powstała olbrzymia literatura w tym przedmiocie w rozmaitych obozach. Niestety, Kant lubo wykazał ostateczne podstawy naszego postępowania, jest filozofem filisterskim. Ustrojny gwałtem w szaty podług nowej mody, pozbawiony swej peruki, warkoczyka i krótkich spodenek, wyglądałby nader komicznie. Nic dziwnego, że wkrótce odezwały się głosy, nawołujące do ugrupowania się około Alberta Langego. W nim bowiem natura połączyła wielki umysł ze wzniosłem, kochającem sercem, które przyspieszonem gorączkowem tętnem odpowiadało na wszystkie zagadnienia naszego czasu. Ten myśliciel i poeta o podsłonecznym locie całą duszą poświęcił się rozbiorowi rozdźwięków naszej kultury. Jeśli jednak cienie nieboszczyków mają kierować dowodcami i patronami współczesnych Niemiec społecznych, to, mojem zdaniem, na stanowisko to nadaje się najbardziej Robert Owen, przezwany „świętym starcem z New-Lamarcka.“ Te bowiem dążenia, które, aczkolwiek powoli zdobywają sobie poklask umysłów reformatorskich, znalazły niegdyś gorącego i konsekwentnego obrońcę w osobie Roberta Owena. Weźmy np. ideę stowarzyszeń spożywczych i spółdzielczych lub kolonij rolnych, opartych na zasadach kooperacyjnych. Przed dziesięciu laty każdy golowąs był w stanie dowieść niezbicie, iż pomysł tego rodzaju jest dzieciństwem; któż nie uważał za ostatniego półgłówka Schultzego z Delitscha, ośmieszonego na wieki wieków swymi projektami? A dzisiaj. dziwna rzecz, nietylko mówi się poważnie o tem, jak za czasów Owena, lecz pokłada się w nich omal te same nadzieje. Ludzie nawracają się na idealizm społeczny, zamiast poprzedniego tak zwanego materyalizmu, a co najciekawsze, wszczynają się ogniste dyskusye na temat natury człowieka i konieczności wychowywania i uszlachetniania go. Jeszcze więcej rozprawia się o harmonijnem wychowywaniu dzieci, jak za czasów Owena. Wytworzyła się pod tym względem wśród pedagogów swego rodzaju specyalizacya. Każdy kierunek pragnie rozwinąć w podrastającem pokoleniu inną jakąś cechę lub zdolność. Wszyscy zgadzają się na to, iż człowiek „przyszłości,“ ideał „pedagogii społecznej“ musi być wcieleniem harmonii: każdy jednak odłam kładzie nacisk na inny pierwiastek ducha.

Dziwna doprawdy rzecz, iż obronę estetyki przyjął na siebie Hamburg, tradycyjne miasto szachrajów i kramarzy. Nauczyciele hanzejskiego grodu utworzyli stowarzyszenie, na którego sztandarze wypisano godło: „artystyczne wychowanie ludu i młodzieży.“ Jest to prąd dziś już tak silny, że prasa mówi o nim coraz częściej w swych wzmiankach i sprawozdaniach. Przyjrzyjmy się programowi tej grupy na podstawie ogłoszonych przez nią prac. Ross, jeden z dowódców, wystąpił z żądaniem. aby wszelkie publiczne czytelnie i biblioteki uznały zasadę krzewienia piękna w duszach ludzkich. „Laisser faire“— wyrządza tu szkody, podobnie jak w innych dziedzinach. Utarty optymistyczny przesąd twierdzi, iż czytelnik, puszczony samopas, sam z biegiem czasu przekona się o wyższości utworów artystycznych. Statystyka, zdaniem Rossa, dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. 70—90% lektury bibliotecznej przypada na romanse łechcące wyjałowioną wyobraźnię lub zmysłowość. Jeśli statystyka niektórych czytelni wykazuje, iż wzrasta wziętość utworów naukowych, to zwrot ten nie dowodzi zmiany gustu estetycznego, lecz wzrastającego zamiłowania do wiedzy.

Wspomniane wyżej stowarzyszenie ogłosiło między innemi zbiorowe wydawnictwo w kwestyi nauki rysunków w szkołach, gdzie poddaną została krytyce rutyna nauczycielska. Reformatorowie żądają i tu powrotu do natury, ludu, oraz uwzględnienia potrzeb sztuki stosowanej do przemysłu, a więc gałęzi będącej obecnie w pełni rozkwitu. Program reformatorów na polu szkolnictwa idzie jeszcze dalej: sama forma zewnętrzna szkoły musi być odblaskiem piękna. Ściany gołe, a co najwyżej wstydliwie zawieszone mapami, tabelami lub produkcyami religijnemi nieznanych bohomazów, nie przykują do siebie zmęczonego lub stęsknionego wzroku urokiem piękna. Miejsce tych przedmiotów powinny zająć starannie wykonane kopie cennych dzieł sztuki, których obraz wryje się w pamięć uczniów. Odbije się to dodatnio na smaku artystycznym młodzieży. Rozmaite środki praktyczne umożliwiłyby wprowadzenie tej reformy. Autor projektu, Spanier, wspomina o towarzystwie które zawiązało się w Londynie w celu tanego zaopatrywania szkol w artystyczne druki i ryciny. W Manczestrze samo muzeum wypożycza szkołom obrazy. W Belgii rady miejskie wyznaczają na to specyalny fundusz. We Francyi przy każdej szkole utworzono maleńkie muzeum sztuk pięknych, przyozdabiające komnatę szkolną; takie *musée d'art scolaire* ma według uchwały rządowej istnieć przy każdej szkole wiejskiej. Wspomniane stowarzyszenie nauczycieli rozpoczęło rokowania z kilkoma nakładcami w tej sprawie. Na zasadzie opracowanego katalogu szkoły będą miały możność otrzymywać za przystępną cenę zbiory kopij słynnych utworów sztuki plastycznej. Stąd jeden krok do zaprowadzenia obowiązkowego i systematycznego zaznajamiania uczniów z pomnikami artystycznymi.

Próby w tej mierze zostały już podjęte przez znanego estetyka hamburskiego, Lichtwarcka, dyrektora muzeum miejscowego. Uderza nas śmiałość samego pomysłu. Nie na fotografiach ma się kształcić poczucie estetyczne, lecz o ile można na utworach oryginalnych, z wyrugowaniem wszelkiego historycznego balastu. Daty i anegdoty biograficzne bądź trudne, bądź bezsensowne zamulają duszę dziecka, podczas gdy wrażenie bezpośrednie, wyniesione z obserwacyi, zapładnia ją. Gra kolorów i idea — oto rzeczy pierwszorzędne, zwłaszcza w młodszym wieku. Dopiero w czternastym roku życia może dziecko odczuć piękno rzeźby. Co do wyboru dzieł, Lichtwarck oddaje pierwszeństwo twórczości bieżącego stulecia, gdyż ta treścią jest przystępniejszą dla umysłu dziecięcego. Z powyższego nie wypływa, aby owa drużyna reformatorska lekceważyła rolę wychowawczą innych sztuk pięknych. Przeciwnie, z inicyatywy stowarzyszenia nauczycielskiego dyrekcya hamburskiego teatru zgodziła się urządzać peryodyczne przedstawienia sztuk klasycznych wyłącznie dla dziatwy szkolnej. Dotychczasowe próby wypadły świetnie. Wywiązała się polemika pomiędzy „patrycyuszami“ rzeczypospolitej a plebsem bakałarzy. Pierwsi wołali, iż w ten sposób psuje się obyczaje niewiniątek i budzi żądze uśpione w duszy dziecka. Nauczyciele odparli, iż właśnie tego sobie życzą. Człowiek, zadowolony ze wszystkiego i nierwący się naprzód, jest bratem duchowym bydła. Ostatnie strzały, które padły w tej walce i pochodziły z ręki hamburskiego poety, Ottona Ernsta, zostały tak zręcznie wymierzo-

---

rała się odkryć, gdzie jest jej Anglia. Ponieważ nie miała wyobrażenia o odległościach i o parowcach, więc rozumowania jej były nieco mylne. Ale nawet będąc słusznemi, byłyby bez wartości; Anglikowi bowiem ani śniło się wracać i żenić z góralką. Zapomniał o niej już wtedy, gdy łowił w niezbyt dalekim Asamie motyle. Potem napisał książkę o Indyach, ale imię Elżbiety nie znalazło w niej miejsca.

Po trzech miesiącach Elżbieta odbywała codzień pielgrzymkę do Narkundy, chcąc zobaczyć, czy Anglik nie nadjeżdża. To sprawiało jej pewną rozrywkę i koiło ją nieco, a pani kapelanowa widząc weselszą jej twarz, sądziła, że poczyna nareszcie pokonywać „swoją barbarzyńską i wysoce nieodpowiednią głupotę.“ Lecz te wycieczki straciły szybko swój uspokajający skutek i Elżbietą owładnęło gwałtowne rozdrażnienie. Żona kapelana uważała teraz czas za stosowny do odkrycia dziewczynie prawdziwego stanu rzeczy. Wyjaśniła jej, że Anglik czynił jej przyrzeczenia tylko, aby ją uspokoić, że nigdy na seryo o niej nie myślał, że byłoby rzeczą bardzo naganną i niestosowną, aby myślała o poślubieniu człowieka, który jest ulepiony z lepszego ciasta, a nadto zaręczył się już z dziewczyną pochodzącą z jego narodu. Elżbieta odparła, że to wszystko jest jak najniemożebniejsze, bo przecie on jej powiedział, że ją kocha, a nawet ona sama, pani kapelanowa, zapewniała ją, że Anglik wróci.

— Jakże może być nieprawdziwem to, co powiedziała pani i on? — spytała Elżbieta.

— Użyliśmy tego tylko jako wymówki, dla uspokojenia ciebie, moje dziecko.

— Więc skłamaliście przede mną? Pani [illegible]

Opiekunka pochyliła głowę i milczała. I Elżbieta milczała przez chwilę, potem odeszła w dolinę. Po jakimś czasie wróciła w odzieniu góralki, niewymownie brudna, ale bez pierścieni w nosie i uszach. Włosy swe zapletła, zwyczajem swego szczepu, w jeden warkocz przetykany czarnemi nićmi.

— Wracam do swoich — powiedziała. Zabiliście Elżbietę. Została tylko córka starej Jadehy. Wy jesteście wszyscy kłamcami, wy Anglicy.

Zanim kapelanowa ochłonęła ze zdziwienia, Elżbieta znikła. Nie wróciła już nigdy.

Pogrążyła się namiętnie w zwyczaje swego niechlujnego szczepu, jak gdyby chciała wyzbyć się czemprędzej resztek dawnego życia. Wkrótce poślubiła drwala, który bił ją, jak jest to w nawyknieniach Paharów i piękność jej zwiędła szybko.

— Niema logiki, mogącej objaśnić sposób myślenia poganina — mówiła pani kapelanowa—i sądzę, że Elżbieta była w duszy zawsze poganką.

Elżbieta była bardzo starą, gdy zmarła. Posiadała przez całe życie doskonale angielski język i gdy dostatecznie się upiła, dawała się nakłonić do opowiedzenia historyi pierwszej swej miłości. Wtedy trudno było sobie wyobrazić, że ta okryta zmarszczkami czarownica była kiedyś piękną na całą okolicę Elżbietą...

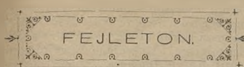
Tłom. z angielskiego

W. Bugiel.



no, iż zatkały usta patrycyuszowskim Katonom.

H. F.



PAMIĘTNIK.

Dla zdrowia i kieszeni.

D[illegible] nad „geszeftami“ nie mają przystępu do naszego serca i nie umiemy wzruszyć się głęboko tem, że ktoś wynalazł dowcipny sposób wysokiego oprocentowywania swego kapitału. Nie przeczymy jednak, że między geszeftami zachodzą duże różnice, które do nich budzą w nas bądź sympatyę, bądź niechęć. Mianowicie, jeśli tego rodzaju przedsięwzięcia wymieniają swój zysk na istotną usługę — uważamy je za pożądane i pożyteczne. Wiadomo, że od lat 20 Warszawa otacza się coraz grubszym pasem letnich mieszkań, w których osiedla się znaczna część jej ludności dla poprawy zdrowia i wzmocnienia sił. Mieszkania te tworzą obecnie dość dużą skalę, począwszy od prostych chałup wiejskich aż do wytwornych willi. Obecnie grupa kapitalistów postanowiła stworzyć coś, co wspaniałością i wygodą przewyższy wszystkie dotychczasowe siedziby letnie. Zbudowała ona w Oborach, niedaleko Warszawy, szereg eleganckich willi, rozrzuconych po parku, zaopatrzonych w najrozmaitsze nowoczesne urządzenia, oświetlonych elektrycznością itd. Już dziś pisma nasze śpiewają hymn pochwalny dla tego przedsiębiorstwa. Otóż zdaje nam się, że z tem *laudemus* należy nieco zaczekać. My bowiem stale wykazujemy w podobnych spekulacyach dwie wady, które są może główną przyczyną ich niepowodzenia: nie zakładamy wsi, ale małe miasteczka, nie dogadzamy potrzebom ogółu, ale zbytkowi. Jeżeli tedy Obory mają być drugim Otwockiem, który już dziś przypomina Radzymin lub Nowomińsk, jeżeli w nich mieszkania mają kosztować setki i tysiące rubli, to powstrzymajmy nasze uniesienia. Stłoczonych domków i zdzierstwa, pragnącego szybko zbogacić się, posiadamy dosyć. Nam brak tego, na co dawno zdobył się Zachód: porządnych i wygodnych a *tanich* willi, których właściciele zadawalają się 4 lub 5% od włożonego kapitału i ciągną swe dochody z [illegible] przyjezdnych; a nie z obskubywania rzadkich ptaków. W pierwszorzędnej miejscowości klimatycznej szwajcarskiej można dostać elegancki pokój z całodziennem życiem i usługą za 150 fr., tj. za 60 rubli miesięcznie od osoby, podczas gdy u nas więcej trzeba zapłacić za samo mieszkanie. A przecież za granicą manna i przepiórki nie spadają z nieba restauratorom.

Jednocześnie powstaje w Zakopanem sanatoryum dla suchotników, wzniesione kapitałem spółki, do której należy szerokie grono inteligencyi — Paderewski, Sienkiewicz, dr. Baranowski itd. Niewątpliwie zakład bardzo potrzebny, ale znowu napastuje nas obawa, czy on nie pójdzie śladem wszystkich podobnych zakładów polskich i nie zechce odrazu być kurą, niosącą złote jaja. Jeżeli akcyonaryusze zadowolą się umiarkowanym procentem, wyświadczą chorym wielkie dobrodziejstwo; ale jeżeli sanatoryum będzie dostępne tylko dla pełnych kieszeni — ani się nie rozwinie, ani pożytku wielkiego nie przyniesie.

Potrzebna instytucya.

Natychmiast po skończeniu się wiosennych wyścigów końskich — w których podobno gra kwitła niezwykle — otworzono... nowy lombard akcyjny. Przybył on w samą porę, bo tylu „gentlemenów“ spłukało się w totalizatorze, że podaż do kas zastawniczo-pożyczkowych przewyższała ich siłę popytową. Szlachetni lordowie nieśli do nich wszystko: ciepłe palta, futra, zegarki, fraki, spinki, własne i pożyczone pianina, rowery, flety, skrzypce, biżuterye sióstr i matek, a ponieśliby każdą ruchomość, bez której w lecie można żyć, nie zdradzając jej braku, gdyby tylko od nich te fanty przyjmowano. Ale nawet kosztowniejsze przedmioty z powodu zbyt wielkiego natłoku z trudnością znajdowały pokutniczy przytułek w magazynach lombardowych. Nowe zatem pogotowie ratunkowe powitane zostało szczerym i głębokim oddechem. Nie jest ono jeszcze ideałem tego rodzaju instytucyj, bo również bierze w zastaw tylko przedmioty cenne na procent, który skromnie wygląda w kwicie, a nieskromnie w kieszeni wierzyciela, ale — cierpliwości! Gdy totalizator namnoży Twardowskich, z pewnością dyabeł założy w Warszawie lombard i będzie brał w zastaw dusze. To dopiero by nas zbawiło! Dusz bowiem mamy do zafantowania olbrzymią masę, a dotychczas nie należą one do przedmiotów lombardowych i ledwie czasem znajdują nabywców za psie pieniądze. Bądź co bądź jednak przyznać trzeba, że rozwój lombardów dowodzi dwu bardzo pocieszających faktów: 1) wzrostu oszczędności równoległego z wzrostem dostatku w średnich klasach naszego społeczeństwa i 2) umiejętnego użycia nagromadzonych kapitałów. Tramwaje oddaliśmy Belgom, fabryki tkanin bawełnianych Niemcom, kopalnie węgla i huty żelazne—Francuzom, a sobie zachowaliśmy najlepszą cząstkę — lombardy. Do tych nie wcisnął się ani jeden cudzoziemiec, są one rdzennie swojskie, nie dość tego—herbowe!

Ochronki wiejskie.

Dlaczego dopiero teraz zwróciliśmy uwagę publiczną na sprawę tak ważną i oddawna domagającą się podjęcia — nie będziemy badali, tem bardziej, że u nas zdarza się to bardzo często, iż pewna chwila wydobywa na wierzch jakąś kwestyę, która od lat wielu dojrzała. *Kuryer Warsz.* zamieścił objaśnienie w przedmiocie ochronek wiejskich, a p. L. Górski poświęcił im osobną broszurkę. Wartość obu tych głosów spoczywa w ich stronie informacyjnej, a raczej w przypomnieniu odnośnych przepisów prawnych, które wszyscy ziemianie znać obowiązani, a których może żaden nie znał. Uzasadniony wstyd nie pozwala nam przed ukształconymi czytelnikami dowodzić pewnych prawd, które stanowić powinny część składową najzwyklejszej inteligencyi. Więc też nie będziemy tu wykazywali konieczności zakładania po wsiach ochron dla dzieci ludu, zwykle opuszczonych, zaniedbanych, zdziczałych, często nieszczęśliwych, a mogących za pomocą tego rodzaju przytułków uszlachetnić swoje uczucia, zabezpieczyć moralne i fizyczne zdrowie, zebrać do dusz posiew uczuć, które w późniejszem życiu się rozwiną w uczciwy charakter. Zaznaczamy tylko, że na podstawie Ukazów z lat 1864 i 1870, Ustawy o zakładach dobroczynnych w guberniach Królestwa Polskiego, każdy może otworzyć ochronę, jeśli tylko bądź na przedstawienie wójta gminy, bądź bezpośrednio uzyska pozwolenie gubernatora.

Tortury wyścigowe

Zeszłej niedzieli zakończył się „międzynarodowy“ turniej cyklistów, a zakończył się zwycięstwem Niemców. Kto obejrzał i porównał wyścigowców, między którymi Niemcy i Włosi wyglądali jak olbrzymi, a nasi bohaterowie jak lilipuci, ten nie wątpił wcale o wyniku zapasów. Była wszakże chwila, że jeden z naszych cyklistów, wytężywszy ostatki sił, pobudzony krzykami i oklaskami widzów, dorównywał swym współzawodnikom. Na szczęście pękła mu guma i zmusiła go do wycofania się z biegu. Mówimy: na szczęście, gdyż widząc jego straszny wysiłek, podniecony zachętą tłumu, można było mniemać, że jeżeli ten wyczerpany nadmiernym trudem męczennik dojedzie do mety, to chyba padnie na niej martwy. O zniesieniu takich szalonych wyścigów, które nie dają społeczeństwu żadnego pożytku i otwierają tylko pole do popisów szczupłej garstce zawodowców — nie marzymy. Najsilniejsze argumenty byłyby tylko grochem rzucanym na ścianę. Ale jeżeli warszawskie Towarzystwo cyklistów ma zamiar urządzać stałe turnieje międzynarodowe, niechże się stara wyhodować w kraju zapaśników, którzy bez kompromitacyi, a nadewszystko bez ryzykowania zdrowia i życia mogliby się mierzyć z zagranicznymi. Dopóki zaś siły są bardzo nierówne, niechże świadkowie igrzysk nie pobudzają słabszych swoich faworytów do rozpaczliwych natężeń, które prędzej czy później skończą się smutną katastrofą.

Wodociągi lubelskie.

Nie wiedzie się Lublinowi z wodociągami. Po długich zachodach i kłopotach zdobył je, ale z wątpliwą wodą. W kilku pismach na podstawie analiz i domniemań wyrażono przekonanie, iż jej zbiornik, położony w gruncie przepuszczalnym, sąsiadujący z cmentarzem, nie przedstawia dostatecznej rękojmi czystości. Twórca czy też przedsiębiorca wodociągów jest tem przypuszczeniem oburzony — co my najzupełniej rozumiemy, ale rozumiemy również, że miasto powinno posunąć swą ostrożność do ostatecznych granic, bo ona nigdy nie może być za wielką. Nie chodzi tu bowiem o jakąś beczkę do polewania ulic albo inny drobny sprawunek, ale o urządzenie kosztowne, obliczone na długą przyszłość, a dla mieszkańców niezmiernie ważne. Woda jest jednym z pierwszorzędnych warunków zdrowia i stać się może jednym z najzgubniejszych rozsadników chorób. Należy więc ją zbadać dobrze i wcześnie, ażeby potem nie trzeba było albo cierpieć, albo ponosić wielkich ofiar pieniężnych. Na dąsy, przygryzki, pretensye osobiste tu niema miejsca, na wszystkich zaś spoczywa obowiązek sumiennej i ścisłej krytyki.

Hygiena cytak.

Na posiedzeniu wydziału hygieny zawodowej i przemysłu Towarzystwa hygienicznego dr. A. Zawadzki w osobnym referacie wykazał, że apteki nasze przyczyniają się do szerzenia chorób zakaźnych. Przez apteki warszawskie w ciągu roku przewija się około 80 tysięcy ludzi, którzy przynoszą do domów choroby na obuwiu, odzieniu, flaszkach, receptach i notatkach, wręczanych aptekarzom. Prelegent proponuje następujące środki, które mogłyby w znacznym stopniu zapobiedz złemu. Należy przedewszystkiem usunąć z aptek meble wyściełane: blaty drewniane, kryte ceratą, zastąpić marmurem lub szkłem, odkażać przynoszone do apteki recepty, pieniądze, naczynia, zmienić sposoby robienia pigułek, maści, proszków w opłatkach, waty i gazy hygroskopijnej. Mówca nie zwrócił uwagi jeszcze na jeden niewątpliwy sposób roznoszenia chorób zakaźnych za pośrednictwem aptek. Rozdają one interesantom kartki tekturowe z numerami oznaczającymi lekarstwa, którego nie można zrobić na poczekaniu. Kartki te są brudne nieraz do tego stopnia, że się lepią i wzbudzają obrzydzenie. Otóż należałoby je zastąpić markami blaszanemi, które za każdym razem można byłoby łatwo poddawać dezinfekcyi. To samo należy uczynić w lecznicach, które dają chorym numery porządkowe, również na obydwie brudnych, lepkich kartkach tekturo-

wych. Posługują się niemi szczególnie lekarze, posiadający praktykę rozległą. Do innych, mniej znanych, otwierają wstęp zwyczajne i najwłaściwsze kwity, wycinane z księgi. Co do aptek, nigdzie tak łatwo jak tam nie da się zastosować dezinfekcya. Mają one na zawołanie wszelkie środki po temu. Nawet w kasach swoich mogłyby wprowadzić urządzenia, które natychmiast odkażałyby banknoty i monetę brzęczącą.

JÓZEF MAJER.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Ile zawód nauczycielski posiada szczebli w hierarchii profesorskiej i akademickiej, tyle przeszedł zmarły przed kilku dniami w Krakowie, jako dziewięćdziesięcioletni starzec, Józef Majer. Jakiej godności on nie piastował! Docent, profesor, rzeczywisty dziekan, rektor, prezes Towarzystwa naukowego i Akademii, przewodniczący w komisyi edukacyjnej i w radzie szkolnej — wszystkie te stopnie i wiele innych przebył, a na każdym okazał światły umysł i silny charakter. Wiek pomału osłabiał jego energię i rozmiękczał twardość jego zasad, ale zapamiętać należy, że podczas ostatnich natężeń dogorywającego ucisku w Austryi, po wojnie węgierskiej i przed pruską, śmiały zapaśnik nie ugiął się i doniósł swój ludzki i obywatelski honor do pomyślniejszej doby. Dzięki temu i dzięki godzącej właściwości jego umysłu, był on jak gdyby stworzony na kierownika sił zbiorowych z rozbieżnemi dążeniami stronnictw. Poważnieni między sobą chętnie stawali pod jego komendą i czuli dla niego jednaki szacunek. Wielu instytucyj (np. krakowskiej Akademii umiejętności) był twórcą lub rozważnym sternikiem. Dopiero mając lat 70, po półwiekowej blizko pracy, wyprosił się od wszelkich zaszczytów i resztę życia spędził w zasłużonym spoczynku.

W literaturze naukowej pozostawił szereg dzieł cennych: „Fizyologię układu nerwowego,“ „Fizyologię zmysłów,“ łącznie z Kopernickim opracował „Charakterystykę fizyczną ludności galicyjskiej“ i „Roczny przyrost ciała u Polaków galicyjskich,“ nadto bardzo wiele rozpraw i monografij przyrodniczych, antropologicznych i lekarskich. W uniwersytecie wykładał fizyologię i antropologię.

Grób jego otoczony będzie wdzięczną pamięcią. *W.*

BADANIA NAUKOWE.

DOROBEK SOCYOLOGICZNY.

III. Socyologia ekonomiczna i morfologia społeczna.

Drugi *Rocznik socyologii*, w porównaniu z pierwszym, wprowadził pewne zmiany. Stworzył dwa nowe działy: socyologii ekonomicznej, który zresztą jest niczem innem jeno najpospolitszą ekonomią polityczną, oraz morfologii społecznej.

Co do socyologii ekonomicznej znajdujemy kilkanaście wierszy wstępu.

„Metoda socyologiczna w ekonomii, o ile nie poprzestaje na wyjaśnianiu, ze stanowiska społecznego, zagadnień ogólnych i teoretycznych, napotyka znaczne trudności, biorąc się do zorganizowania studyów naukowych nad przedmiotem konkretnym, niezmiernie złożonym, nieskończenie różnorodnym i niejednolitym. Naukowe badanie rzeczywistości dąży do znalezienia abstrakcyj, mogących uwidocznić najprostsze stosunki istniejące. Lecz jakiej zasady abstrakcyjnej mamy się trzymać w tym razie? Praktyka obecna, mniej lub więcej uzasadniona, jest bardzo rozbieżną pod tym względem. Jest możliwem, iż kilka systemów może istnieć obok siebie i nawet łączyć się wzajemnie, ażeby w sposób należyty sformułować tę rzeczywistość.“

Wszystko to jest jeszcze bardzo niejasne, bo zaprawdę trudno zrozumieć, o co chodzi p. Simiandowi, redaktorowi działu ekonomicznego w powyższych żądaniach. Jest to przecież jeszcze część najzrozumialsza, bo potem następuje parę dalszych twierdzeń, tak dla nas niejasnych, iż obawiamy się je tłomaczyć, ażeby nie przeinaczyć myśli autora. Również ocena dzieł, które w ostatnich czasach pojawiły się na tem polu, jest bardzo pobieżną. „Ma ona tylko wskazać przykłady, zaznaczyć potrzeby, oraz unaocznić treść właściwej ekonomii socyologicznej.“ Tego wszystkiego nie znajdujemy.

Morfologia społeczna — dział, objęty przez samego E. Durkheima — doczekał się bardziej wyczerpującego i zarazem zadawalającego wstępu.

„Życie społeczne — pisze ten socyolog — spoczywa na podłożu, wyraźnem zarówno co do swojej wielkości, jako też formy. Ogół osób, składających społeczeństwo, sposób ich rozmieszczenia na terytoryum, natura i kształty wszelkiego rodzaju rzeczy, wpływających na stosunki zbiorowe, oto pierwiastki tego podłoża. Bywa ono bardzo różne, stosownie do tego, czy zaludnienie jest liczniejsze, gęstsze lub rzadsze,ześrodkowane w miastach lub rozproszone po wsiach: dalej stosownie do tego, w jaki sposób zą wzniesione domy i zabudowane miasta, jak znacznem jest terytoryum zajęte przez naród, jakiego rodzaju są jego granice, drogi, które je przerzynają itd. Natura tego podłoża, w sposób pośredni lub bezpośredni, oddziaływa na wszystkie objawy życia gromadnego, tak samo jak wszystkie zjawiska psychiczne znajdują się w związku pośrednim lub bezpośrednim ze stanem mózgu.“ Właśnie ogół tego rodzaju zagadnień powinien, zdaniem Durkheima, stanowić zadanie nowej nauki, morfologii społecznej. Dzisiaj takiemi pytaniami zajmują się liczne gałęzie wiedzy. Geografia bada kształty terytoryalne ustrojów społecznych, historya śledzi początek rozwoju grup miejskich i wiejskich, demografia studyuje rozmieszczenie ludności na danem terytoryum. Jak widzimy, żądania te przypominają nieco postulaty Fr. Ratzela, wyłożone w zasadach jego geografii politycznej i E. Durkheim bynajmniej nie zapiera się, iż idea morfologii społecznej jest pokrewną dążeniom geografii politycznej, ale zaznacza wyższość swego punktu widzenia, a raczej swojej terminologii. Nie chodzi bowiem o studya nad kształtami ziemi, ale o te kształty, jakie przybiera społeczeństwo, rozmieszczające się na ziemi. Nurty rzek, pasma gór itd. niewątpliwie wchodzą, jako pierwiastki, w konstytucyę narodu, lecz nie są jedynemi, ani zasadniczemi. Tymczasem nazwa geografii politycznej i społecznej nadaje im znaczenie pierwszorzędne. Zresztą „morfologia społeczna nie ogranicza się prostą umiejętnością opisywania podłoża, lecz może a nawet powinna także je wyjaśniać. Musi ona poszukiwać, jakie warunki wpływają na zmianę fizyognomii politycznej ludów, naturę i postać ich granic, gęstość zaludnienia. Powinna ona odpowiedzieć na pytanie, jak powstały zbiory miejskie ludności, jakie prawa rządzą ich rozwojem, z jakich pierwiastków tworzą się one, jaką jest ich rola itd. Nie jest więc wiedzą tylko statyczną, lecz także zawiera w sobie ruchy, z których narodziły się stosunki, przez nią badane.“

Powracamy do ekonomii politycznej lub, jak chce *Rocznik socyologiczny*, do socyologii ekonomicznej.

Dzieł, któreby przedstawiały historyę rozwoju urządzeń ekonomicznych, znajdujemy bardzo niewiele: wszystkie one nie przenoszą liczby kilku, z których na pierwszem miejscu, i słusznie, postawiono prace prof. Karola Büchera — nazwisko, znane czytelnikom *Prawdy*. Nadto wymienić jeszcze trzeba dziełko H. Schurtza, poświęcone początkom pieniędzy — pierwsze w tym kierunku, usiłujące zgromadzić materyał z bytu społecznego ludów pierwotnych, rzucające światło na tworzenie się i rozwój tej tak doniosłej kategoryi ekonomicznej. Autorowi braknie głębszego wniknięcia w istotę pieniędzy, tj. odpowiedniego rozumienia ich natury. Cała zaleta tej pracy, to danie inicyatywy co do tego przedmiotu i wskazanie źródeł — nic więcej. Po za tem znajdujemy na stronicach *Rocznika socyologicznego* tylko ocenę różnych monografij, dotyczących tej lub innej strony dzisiejszego życia ekonomicznego w zakresie związków, stowarzyszeń itd. Na początku do tej części, redakcya dodała od siebie parę uwag wstępnych. „Panującym ustrojem naszego życia ekonomicznego jest zasada zysku, poddana dostatecznie rozbiorowi przez ekonomię klasyczną. Wyróżniła ona wyraźnie zadania kapitalisty, przedsiębiorcy i robotnika. Ale istnieją usiłowania w kierunku zmiany czy to sposobu podziału czynności, czy stosunku ich wzajemnego. Niewątpliwie są to próby i eksperymenty społeczne, które, zbadane w sposób właściwy, może zdołają dać materyał do jakiejś indukcyi.“ Z pośród prac takich monograficznych wymienimy książkę E. Levasseura o robotniku w Stanach Zjednoczonych W. Koehlera o służbie i służących w Niemczech, oraz liczne monografie o tak zwanych przedsiębiorstwach udziałowych, tj. przypuszczających pracowników do pewnej części zysków, wywołane przez zachętę, jakiej udzieliło Muzeum społeczne w Paryżu, ogłaszając konkurs. Ale na pierwszem miejscu z pośród licznych monografij, wymienionych w *Roczniku*, należy postawić parę prac nad położeniem dzisiejszem stanu średniego, w tej liczbie rozprawę prof. Schmollera, co winniśmy pojmować pod tą nazwą. Następnie wydawnictwo ministeryum handlu we Francyi, przedstawiające wyniki ankiety rządowej w sprawie stowarzyszeń współdzielczych. Przedewszystkiem jednak musimy zwrócić uwagę na olbrzymie, trzytomowe dzieło małżonków Webbów: „Demokracya przemysłowa,“ dzisiaj przetłomaczone już na język niemiecki i zapowiedziane w rosyjskim, a poświęcone analizie tradeunionów angielskich. Webbowie stworzyli niewątpliwie przyczynek pierwszorzędnej wartości naukowej w dziedzinie urządzeń, mało znanych i dość zaniedbywanych a posiadających przecież olbrzymią doniosłość w rozwoju stosunków i ekonomicznych i społecznych W. Brytanii.

Z pośród wymienionych prac zatrzymywaliśmy się kiedyś nad Schmollerem, który usiłuje dowieść, iż chociaż życie społeczne doby dzisiejszej w rozwoju swoim niszczy warstwy średnie starej daty, ale jednocześnie wydobywa nowe pierwiastki i z nich organizuje nową taką grupę ludności. Są to urzędnicy państwowi i lepiej płatni oficyaliści różnych banków i innych przedsiębiorstw ekonomicznych, przedstawiciele profesyj wyzwolonych, wyspecyalizowani robotnicy, niektóre warstwy zamożnych włościan. Wszystkie te żywioły, acz na pierwszy rzut oka bardzo różnorodne, przecież w życiu społecznem spełniają tę samą rolę — zapełnienia przepaści pomiędzy arystokracyą, plutokratyczną a tłumami proletaryatu, i w ten sposób łagodzą ostrość przeciwieństw społecznych. Monografia rządu francuskiego

o stowarzyszeniach współdzielczych ma odznaczać się wielu zaletami, przedewszystkiem wielką sumiennością. Jak wiadomo, ruch współdzielczo-wytwórczy w ostatniem dziesięcioleciu zrobił znaczne postępy. Z jednej strony rozwija się on pod działaniem stowarzyszeń spożywczych, które porozumiewają się z niemi i odrazu otwierają im rynek zbytu, z drugiej związki zawodowe najmickie zakładają je dla dostarczenia zarobku tym towarzyszom, którzy znaleźli się na bruku. Sprawozdanie urzędowe wymienia około dwustu stowarzyszeń wytwórczych, przyczem robi uwagę, iż największą trudność w ich rozwoju stanowi brak sprawności handlowej, oraz iż powodzenie znajduje się w związku jak najściślejszym z posiadaniem w swojem gronie osób zdolnych do prowadzenia właśnie owej działalności handlowej, sumiennych a uspołecznionych towarzyszów. Słowem, co było oddawna wiadomem, ruch współdzielczo-kooperacyjny zależy od przymiotów duchowych swoich członków i w najlepszym razie może ogarnąć tylko odpowiednio przygotowane, a raczej usposobione i obdarzone żywioły.

W dziale morfologii społecznej mamy takie rzeczy, jak rozbiory „Geografii politycznej" Fr. Ratzela, usiłującego ustanowić zasady tej nauki, „Statystyki" G. Mayra itd. Wreszcie ocena paru rzeczy, zajmujących się analizą miejskich grup ludności i ich początków. Taka obfitość prac, traktujących o tym przedmiocie, świadczy o zainteresowaniu, jakie zaczynają budzić w nauce nowoczesne ogniska handlu i przemysłu, ten jeden z najjaskrawszych produktów epoki dzisiejszej. Z pośród nich zwrócimy uwagę na rozprawę, podpisaną nazwiskiem brzmiącem po polsku i może należącem do Polaka. R. Kuczyński mówi o wychodźtwie do miast. Oryginalność tej książki polega na tem, iż autor staje wpoprzek wszystkim dotychczasowym wywodom o zgubnem działaniu miast na osoby, które w murach jego przebywają. Od Graunta do Süssmilcha, wszyscy demografowie przedstawili miasta jako straszydła, pożerające tych, którzy w nich zamieszkali, a twierdzenie to stało się niemal powszechnem wyznaniem wiary. Ludzie nie mogą wytrzymać napiętego życia i wymierają, jeśli nie w pierwszem, to w drugiem lub którem — niezbyt dalekiem pokoleniu. Nowe żywioły, zaludniające miasto, przybywają ze wsi i zapełniają wytworzone przerwy. Wieś przedstawia w ten sposób jakby zbiornik sił żywotnych, niszczonych systematycznie przez miasta. Twierdzenie o takim pożerającym wpływie miast doznało w Niemczech w ostatnich czasach rozszerzenia przez poszukiwania Ammona i Hansena, którzy nie poprzestali na skonstatowaniu faktu, ale wyciągnęli stąd pewne wnioski praktyczne. Prasa zachowawczo-ziemiańska powołuje się na to niszczące działanie wielkich ognisk, ażeby wykazać konieczność powstrzymania napływu ludności do nich ze wsi. Brentano znany jest z tego, iż systematycznie usiłuje podważyć wszelkie takie twierdzenia zachowawców społecznych, o ile one dotyczą sfery zjawisk ekonomicznych. Praca R. Kuczyńskiego nosi na sobie pewne ślady tego wpływu. Usiłuje ona wykazać, iż tezy o ujemnem działaniu miasta niepodobna uważać za ostatecznie i stanowczo rozstrzygniętą. Przedewszystkiem zwraca uwagę na to, że mieszkańcy miasta odznaczają się niezmierną ruchliwością, następnie iż wielki względnie procent w ogólnej sumie zaludnienia stanowią wojska, które są tam tylko czasowo, a przecież wchodzą w wyliczenia statystyczne, wreszcie że jest wiele osób, zwłaszcza wśród służby, która przychodzi na lata młode do miasta, a potem w sile wieku ucieka z murów jego. To wszystko odbija się w demografii miasta, mianowicie w tem, że stosunkowo osób w wieku lat 30 do 60 jest tam mniej, aniżeli na prowincyi. Powtóre autor stara się dowieść, że niema w mieście przewyżki śmiertelności nad liczbą urodzeń, jak należałoby się spodziewać, chociaż z cyfr jego okazuje się, że owa śmiertelność jest tam większa, niż na wsi. Krytyk francuski, poddając w wątpliwość niektóre z wyliczeń i twierdzeń R. Kuczyńskiego, dodaje, iż we Francyi z jednej strony śmiertelność w miastach jest większą, z drugiej zaś liczba dzieci, przypadająca na pojedyncze stadło małżeńskie, mniejszą, przyczem od siebie zrobiliśmy jeszcze uwagę, że i wiek, w jakim mężczyzni i kobiety wstępują tam w związki małżeńskie, jest o wiele późniejszy. Następnie sama przewyżka liczby urodzeń nad śmiertelnością niczego nie dowodzi, dopóki nie znamy rozmiarów jednej i drugiej wśród osób urodzonych w mieście i przybyszów. Może właśnie ci ostatni swoją płodnością pokrywają niepłodność tamtych. Natomiast zupełnie słuszną jest uwaga autora, że twierdzenie, jakoby miasto wymarło po pewnym czasie, pozostawione samemu sobie, nie wytrzymuje krytyki. Ogniska takie, nieotrzymujące soków żywotnych z pośród społeczeństwa, niebawem, po pewnym spadku, stworzyłoby inne warunki hygieniczne oraz społeczne, bo walka konkurencyjna, a z nią i gorączka życia, zmniejszyłyby się i w ciągu dalszym oddziaływały też na inne strony. Ale do tego winnibyśmy nadto dodać, iż takie zgromadzenia ludności może utraciłyby swój dzisiejszy charakter wielkomiejski.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

II.

Jan Iwański: *Sonety*, Warszawa, 1899. — Edward Siwiński: *Poezye*, Warszawa, 1899. — Stanisław Koszutski: *Z bólów duszy*, Warszawa, 1898 — Jan Sten: *Poezye*, Lwów, 1898. — Władysław Karoli: *Przyszłość*, Warszawa, 1899. — Aldona: *Pieśni kobiety*, Warszawa, 1898.

Po jaskrawej i trochę zanadto rozebranej muzie p. Butrymowicza, posłuchajmy dla odmiany pieśni p. Iwańskiego, skromnej, potulnej, w karbach przyzwoitości utrzymanej, niegorszącej niewinnych serc, oczu i uszu panieńskich, nawet kiedy mówi o „szałach" i „oszołomieniach." Gdy z pierwszego zaraz sonetu dowiemy się, że poeta rad słucha „poszeptu nieziemskiego z zaświatów dziedziny," kiedy spojrzawszy na ostatnią kartę wyczytamy, że jego „dusza marząca na *tęsknot łodzi* w krainy marzeń odpływa blada," powątpiewać nie będziemy, iż poezya p. Iwańskiego jest współczesną, a sam autor należy do „najmłodszych." Istotnie, wypływamy wraz z nim na „mistyczne jeziora," przypominamy sobie o istnieniu nirwany, spotykamy „wizye," żywcem wyjęte z Tetmajera (jeno zamiast topielca wisielec itp.). Mignie przed nami na chwilę oblicze Langego, Kasprowicza, Szczepańskiego... Poezya najmłodszych jest, jak wiadomo, refleksyjną... I p. Iwański często wdaje się w rozmyślania: „Czemu tyle mnie losów zmiennych przedzieliło od owej chwili, gdym w *kolebce* przeżywał najszczęśliwsze chwile." Czemu? Nie wiem... ale pamięci autorowi powinszować. Nie tylko pamięci; okazuje się bowiem, że p. Iw. już w kolebce w refleksye się bawił, bo skądżeby inaczej mógł wiedzieć, jak to tam było.

Poezya współczesna jest melancholijną, pełną zgrzytów, mętów, zwątpień... I p. Iwański jest pesymistą z tej kategoryi, którą Poseł Prawdy ochrzcił niedawno mianem „młodej starości." „Zmęczone serce ze znużenia kona," a burza w tem sercu gmach młodzieńczych marzeń w prochy kruszy i niepewności w mózg mój wciska harpie." Naprożno przecież usiłowalibyśmy docieć, dlaczego to serce czuje się tak zmęczonem, gdzie owe burze się rodzą i jakiego rodzaju niepewności z harpiami się spokrewniły. Ach, prawda... gdzieś p. Iw. wypowiedział wielce głębokie spostrzeżenie, że „miłość do życia powołać nas może," „lecz nieraz może nam serce zakrwawić..." A o miłości p. Iw. prawi nam bardzo dużo... Dużo i słodko.

I mistyczne tęsknoty i młodo-stary pesymizm jest objawem i skutkiem tej samej przyczyny, która w tym wypadku, jak w wielu innych, odejmuje wartość istotną udatnym skądinąd wierszykom: tkwi ona w zbyt mało wyrobionem życiu wewnętrznem, w zbyt słabo zarysowanej pod względem czuciowym i myślowym indywidualności. Stąd owa podatność na podmuchy zewnętrzne... Niema mowy o nieszczerości umyślnej i nieświadomej; jest tylko bezwiedne nastrajanie się na nuty całkiem obce właściwym poecie stanom ducha: jest ów daltonizm, który nie pozwala nam rozeznać tego, co rzeczywiście widzimy i słyszymy, czego naprawdę chcemy. Gdyby w głębi duszy istniały wyraźnie zaznaczone upodobania, może byłoby inaczej. A w dodatku, jeżeli pozbawiona potęgi twórczej wyobraźnia przechowywać może tylko odosobnione kształty przedmiotów, albo już przez innych dokonane skojarzenia pojęć, barw, obrazów, z jakichże pierwiastków biedny wieszcz ma wysnuć pieśń swoją? Darowalibyśmy chętnie p. Iw. i często niezręczną dykcyę, i głębokie jego rozmyślania, nie wytoczylibyśmy mu procesu o przejmowanie się cudzemi natchnieniami, gdyby... gdyby jego obrazy przyrody nie były suchem wyliczaniem wszelkich widzialnych przedmiotów, gdyby jego „nastroje," jakkolwiek w znanym rodzaju, udzielały się choć do pewnego stopnia czytelnikowi, gdyby gdzieś można było spotkać jakąś żywszą zwrotkę, jakąś oryginalną, świeżą przenośnię, gdyby dojrzeć coś, co można byłoby uważać za zapowiedź, za zaród przyszłej indywidualności...

Po jękliwych zawodzeniach, ckliwych zachwytach i beztreściwych refleksyach legionów naszych wieszczów, po ich kulawych wierszydłach, z przyjemnością weźmiemy do ręki nieduży tom „Poezyj" Siwińskiego, bo spotkamy się tu ze szczerym śmiechem i naturalnem uczuciem. Wprawdzie parę zwrotek w „poważnym" tonie należy do mniej udatnych, a „zdrowia" i różne imieninowe wiersze winny były pozostać, zgodnie ze swem przeznaczeniem, w ukryciu u znajomych i przyjaciół autora: po za tem jednak chętnie przejrzymy kilka dłuższych utworów, w których drga żartobliwa nuta lub w których za cel swej łagodnej satyry autor obrał mniejsze lub większe śmiesznostki i przywary ludzkie w życiu domowem i publicznem. Poezya ta serca głębiej nie poruszy, umysłu nie strudzi, ani się nie zapisze w pamięci bogactwem obrazów i kunsztownością formy, lecz napisana gładko, przeczyta się z zadowoleniem i na usta nasze nieraz uśmiech wywoła. Będzie to śmiech z poetą...

Opuszczamy go z uczuciem prawdziwej wdzięczności, lecz i z westchnieniem, bo oto znowu musimy nastrajać się na wysoką nutę, wstępujemy bowiem w sferę autentycznego modernizmu. P. St. Koszutski „z bólów duszy" swej utworzył wiązankę sonetów i zwierzeń prozą, jęcząc „cichym śmiechem grzejącego współczucia i dławiącego bólu." Jako gościnny gospodarz, nasmarował drzwi do własnej duszy,

aby nie skrzypiały i zaprasza nas do wnętrza. Stajemy tam w mdłym blasku, dygocąc z zimna. „My mieszkań nie opalamy, kochanie, brak nam funduszów.“ Chcemy się wycofać z tej skrytki na otwartą przestrzeń — jeszcze gorzej! Bo tam „w całym swiecie był jeden wielki skowyt.“ To ból poety z błędnego ognika rozpalił się w wielkie ognisko, „ogarnął pola i lasy, ogarnął ziemię i niebo, rozświetlił cały wszechświat! Zajęczały czerwone rzeki, zaszumiały purpurowe liście, zawyły psy we wszystkich pożółkłych sercach.“ Co sprawiło ten wielki ból i zbudziło we wszechświecie „skowyt“? Oto przechadzał się poeta bulwarem, dla oryginalności wbiwszy sobie w pierś sztylet. Ludzie mijali go obojętnie, *ona* niezręcznie wyrywając sztylet, wpychała go coraz głębiej... Pies zlizywał krople krwi .. Jeżeli autor pragnął sprawić uciechę swym czytelnikom i rozjaśnić najbardziej spochmurniałe czoło swymi pomysłami, mogę go zapewnić, że usiłowania jego zostały uwieńczone zupełnym skutkiem. Jeżeli pragnął... bo trudno się opędzić natrętnie cisnącemu się przypuszczeniu, że cały zbiorek, a przynajmniej część jego, jest mistyfikacyą. Ale czy mamy prawo posądzać autora o rzecz tak nieprzyzwoitą i szkolarską, zwłaszcza że tuż obok „skowytów“ czytamy ładny, a przynajmniej nie uciesznego w sobie niezawierający sonet „Światło bólu“? Jęcząc cichym śmiechem grzejącego współczucia, wycofajmy się z tej matni, aby rozejrzeć się w zbiorku „Poezyj“ p. Jana Stena.

Nie spotkamy u niego ani dziwactwa, ani mistyfikacyi. Tchnienie modernizmu owiało wszakże jego poezyę. Nie dotyczy to przecież jej znamion wewnętrznych, lecz tylko materyalnej osnowy — wiersza, który staje się u p. Stena „polimorfnym,“ jak tego wymagał u Francuzów najpierw Mallarmé podobno, u nas zaś A. Lange. Zdaje mi się atoli, że wiersz nasz z istoty swej jest już wielokształtnym i czyni zadość zarówno konieczności miary, jak i potrzebie urozmaicenia. Nieprawidłowość umiejętna i celowa tylko na tle jednostajnego toku może się uwydatnić dobitnie i harmonizując z treścią, czynić wrażenie bardziej natężonem. Tak np. gdy wchodzimy na „stoki“ góry, by uczcić mogiły poległych, przyspieszony bieg, chaos wrażeń, obawa zjawienia się natrętnych towarzyszów podróży, znajduje swój wyraz w poplątanym rytmie i przeskakiwaniu jednej miary w drugą. Zresztą mniejsza o teoryę, zważajmy na skutek usiłowań. Przeczytajmy oto taką np. melodyjną zwrotkę, w której poeta mówi o jakiejś świątyni, iż „obcą jej grecka lekkość i swoboda, nie strojne w kwiaty kolumnowe czoła, łukiem strzelistym ku niebu nie woła, i lotną wieżą w chmury się nie poda.“ A czyż nie piękny ten w Asnykowskim rodzaju wiersz: „Nieujęta i lekka wizya szczęścia ucieka, a im bardziej daleka, w nowy czar się oblekа itd.“ Czyż to nie lepsze od szarpaniny w każdym wierszu? Powiedzą nam: nic łatwiejszego nad jednostajną melodyjność. Prawda! Lecz przejechanie po grudzie nie jest warunkiem wybicia się nad pospolitość.

Przewrotowa dążność p. Stena ogranicza się zresztą wyłącznie do dbałości o wiersz. Nie zyskaliśmy w nim nowego słońca poetyckiego. Sfera jego natchnień niezbyt rozległa, wzruszenia twórcze nie podbijają nas urokiem odrębności organizacyi artystycznej, w której się zrodziły i nie znajdują też dla swego uzewnętrznienia dość oryginalnego i zindywidualizowanego wyrazu. Nie przeszkodzi nam to wszakże znaleźć u nowego poety rzeczy wdzięcznych, naznaczonych podniosłością treści, szczerością uczucia i pięknością formy. Myśl jego nie rozpływa się w ogólnikach, lecz zwraca się ku określonym zjawiskom społecznym; jego nastrój liryczny, pesymizmem zabarwiony, nie roztapia się w mdłem rozmarzeniu, wyrzekaniu na świat i ludzi, lecz również zdobywa pewną określoność. Rozumiemy, skąd pochodzi przygnębienie i smutek autora i dlatego współczuć mu możemy. „Na naszem niebie chmury, lecz z nich nie spadną gromy, zwiastuny złotych burz... zmęczone nasze dłonie, lecz ręka, co omdlewa, nie rwała paszczy lwa...“ Poczucie bezsilności jednostki w dążeniu do promienistych ideałów każe przecie marzyć o nirwanie, a marzenie to najpiękniejszy bodaj wyraz znalazło w wierszu, naśladującym miarę znanej uroczystej modlitwy chóru anielskiego w „Dziadach.“ „Od ciała mego, od żądzy mojej, od myśli mojej, wyzwól mnie Panie! Tęczą na niebie, chmurą w powietrzu, rosą nalistną — trawą na polu, robakiem ziemi, czemkolwiek każesz, będę o, Panie! itd.“ Nie możemy się dłużej rozwodzić nad społeczną stroną natchnień p. Stena, choć tu właśnie dałoby się wskazać niejeden szczegół, dodatnio świadczący o pewnem zindywidualizowaniu wzruszeń uczuciowych w ich treści i w ich szacie zewnętrznej. Natomiast miłosne jego wiersze pominiemy chętnie. W swych obrazach przyrody p. St., o ile maluje „widoki,“ zanadto sumiennie wylicza ich szczegóły: przecież nieraz dolecą nas z ciemności, z pod nieba „ogromnego, czarnego, nieskończonego“ posępne jęki niewidzialnych, smaganych rozpaczą duchów; albo znowu owionie nas atmosfera „Południa“: „W przejasną dal, gdzie niema nic, prócz miękich fal, fal cichych, sennych fal, płynie mój duch jak lotny puch, po srebrnej wód głębinie...“

Pozostaniemy w kole uczuć nieosobistych, wziąwszy z kolei do rąk „Przyszłość“ p. Wład. Karolego i „Pieśni kobiety“ Aldony. Najwyższą zaletą utworów pierwszego z wymienionych poetów jest to, że źródła natchnień swych poszukuje w tem, co go naprawdę wzrusza. Nędza, cierpienie, budzi w nim szczere współczucie. Ponieważ biedy na świecie dużo, a poeta sercem ją dostrzega, więc tony jego lutni nie są wesołe. Nie pragnie atoli wciąż jęczeć. Gdy wiosna zawita i słońce mile zaświeci, przypomina sobie, że jest młodym: „Kto w swej piersi nie ma skry zapału, łzy i ognia w swem zastygłem łonie, kto nie wzdycha już do ideału i nie kocha się w dwudziestym roku, kto nie wzdycha, nie marzy jak dziecię, to ten nie wart, że żyje na świecie.“ Przytoczony ustęp może go poniekąd charakteryzować. Rozwlekłe powtarzanie tej samej myśli, niekiedy tego samego zwrotu stylowego, wogóle bezbarwny, oschły tok wiersza — to stałe właściwości jego poezyj. Zdaje się, iż p. Karoli nie posiada wielkiego uzdolnienia poetyckiego.

I poezye Aldony nie pociągają nas doborem świetnych barw, misternem wykończeniem formy; powleka je ponury, jednostajny koloryt, a zamknięte są w szczupłem bardzo kole, biorąc początek wciąż z tego samego źródła — niedoli kobiecej. Źródło to gorzkie, ale ileż bólu skupiło się w każdej nucie, w każdem niemal słowie tych pieśni! W poezyach Aldony znalazł wyraz przedewszystkiem dramat duszy niewieściej, zrywającej się do lotu, lecz rozbijającej się o pręty klatki: „Ach, dróg liczniejszych, szerszego pola, nauki, wiedzy, pracy kobiecie.“ Czy ton ten nie jest przestarzały? Czyż cofnęliśmy się o lat trzydzieści? Czy kobieta nie ma wskazanego sobie pola „nauki, wiedzy i pracy“? A jeżeli profesorowie krakowscy sypią na jej drodze tamy i kopią rowy, to przecież bez walki niema życia, a kobieta w tej szermierce nie jest już osamotnioną: otaczają ją liczne zastępy współbojowniczek, oczy światlejszej części społeczeństwa z życzliwością śledzą jej kroki! Więc naprzód! nucąc pieśń nadziei i zachęty: pora żalów minęła. A w pieśniach Aldony „krzyk buntu, brzęk łańcucha“! „Co mi dał świat, co mi dał świat, to mu oddaję wiernie: gorycz i ból, sarkazm i jad — nie kwiaty, jeno ciernie...“

I nie potępimy za to poetki. Dobrze jest, postępując naprzód, czuć ramię koło ramienia. Piękny jest widok zwartego szeregu, kroczącego w jasną przyszłość. Ale upadające w bólu i ciałami swemi znaczące drogę mozolnego pochodu jednostki nie ujrzą tej przyszłości świetlistej. Cierpień nie zażegnywa się teoretycznem rozwiązaniem sprawy społecznej. A czasy Marty z powieści Orzeszkowej nie minęły, ach, nie minęły! Więc choć pieśni Aldony nie posiadają uroku nowości, słuchaczek jej nie zabraknie. Nie mówimy o tych, które, posiadając świadomość zupełną swych potrzeb i dążeń, nie mogą zdobyć się na tyle energii, aby stanąć w szeregu walczących. Nie zważajmy na to, że zdobyta nawet wiedza nie zawsze warunkuje możność pracy i rozwój sił jednostki. Pomyślmy jednak, ile to na ziemicy naszej zakątków, gdzie kobiecie „nie dali nic więcej, nic więcej, jak tylko ognisko rodzinne“ — a przy tem ognisku sponiewierano jej duszę! Do niej zwraca się poetka: „Ty się nie skarżysz, stojąc u mogiły, że z dróg słonecznych ciebie w kąt zepchnięto, że zmarnowano twe życie i siły, *że lotne skrzydło w dzieciństwie podcięto!*“ Czas obudził pragnienia i tęsknoty, lecz nie dał możności ani siły ich urzeczywistnienia. I niejeden bolesny skurcz serca lub spazm dławiący w gardle zawtóruje smutnej skardze Aldony: „Poranku życia, blady, bez słońca... i ty wieczorze, zasnuty cieniem, dżdżysty, posępny, długi bez końca — o, życie marne!..“ Czy tylko za siebie, czy tylko za siostry swe, zbliżone do niej położeniem społecznem, skarży się poetka? I czy tylko się użala? Nie, w jej pieśniach znajduje się pobudka bojowa, bo: „dopóki sama nie podniesie głowy, z rąk twych, kobieto, nie spadną okowy“; a czy jest rzeczniczką własnego tylko bólu? Oto odpowiedź: „Wołam za siebie i za tych tysiące, które nie mają odwagi wznieść głowy, i za te, co cierpią ciche i milczące, i za te, które szarpią swe okowy: za te, co sromu okryte imieniem, na rzeczywistej hańby weszły tory; za te, co fałszem, a więc spodleniem mniemanej cnoty kupują pozory... za wyrobnice na poddaszach drżące od chłodu, ledwie odziane, wpół głodne, i za bezmyślnych tych lalek tysiące, dla których treścią życia — suknie modne!“

Takie są „Pieśni kobiety“!

(D. n.).

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wilhelm Feldman: *Sądy Boże*, obraz z życia żydowskiego w 4 odsłonach.

Jochaja, stary mędrzec, jedzie za morze do Ziemi Świętej, składając cały swój majątek w ręce bogacza Manesa, aby nim obracał i część odsetek przysyłał jemu, a część pozostałej na miejscu rodzinie. Ale chciwy bogacz oszukuje bogobojnego mędrca. Po pewnym czasie zawiadamia listownie pielgrzyma, że pieniądze się wyczerpały. Mędrzec wraca do kraju, staje przed bogaczem i powiada:

— Dałem ci osiem tysięcy. Coś z niemi uczynił?

A bogacz odpowiada:

— Dałeś mi tylko osiemset. Rozdałem je pomiędzy ciebie i twoją rodzinę.

Powstaje spór, który opiera się o kahał. Bogacz posiada wpływy i znaczenie, mędrca lud czci i poważa. Komu tedy z nich uwierzyć? Gdzie rewers? Czy był? Był, odpowiada mędrzec, ale go zatraciłem. Nie wydawałem żadnego rewersu, twierdzi bogacz.

Mędrzec usiłuje być cierpliwym i działać na nieuczciwego bogacza ludzkimi środkami. Ale gdy to nie pomaga, wzywa go, aby wobec całego kahału złożył przy czarnych świecach wielką przysięgę.

Bogacz zawahał się. Jeżeli przysięgnę, przyjdzie anioł śmierci, powali mnie do grobu, rozetnie brzuch, wyjmie wnętrzności, rzuci mi w twarz, a ciało strąci do wieczystego ognia. Jeżeli zaś cofnę się od przysięgi, stracę znaczenie, poważanie i pieniądze. Bóg da się przebłagać, ludzie nigdy. Więc obrażę Boga.

Składa tedy przysięgę w świątyni przed kahałem i ludem wobec czarnych świec.

Gdy Jochaja, stary mędrzec, dowiedział się o tej profanacyi, umarł ze zgryzoty. Ale chciwy bogacz nie umarł, żył, udawał sprawiedliwego i starał się przebłagać obrażonego Boga.

Ale Bóg położył ręce na sumieniu krzywoprzysiężcy i odjął mu spokój. Oczy jego zapadają, twarz żółknie i pokrywa się zmarszczkami, plecy się pochylają, przerażenie płoszy sen z jego powiek, ściga go obraz pokrzywdzonego mędrca. Bogacz więdnie na oczach całego ludu, który patrzy i poczyna rozumieć.

A gdy czas się wypełnił, stanął przed niesprawiedliwym anioł śmierci, wobec całego ludu rozciął mu sumienie, wyjął prawdę i cisnął mu nią w twarz.

Prawda zwyciężyła, bo tą prawdą była natura ludzka. Feldman wprowadził ją do sztuki i kazał jej mówić.

I prawda ta przemawiała ustami bogobojnego mędrca, biła z twarzy nieuczciwego Manesa i jego ukształconego syna, który posiadał rewers, posiadał piękny charakter, czcił bogobojnego mędrca, a jednak, namówiony przez ukochaną kobietę, dopuścił do krzywoprzysięgi. Syn wydał rewers ojcu, ten go zniszczył. Upadli; ale ciemnym ich duszom fałszywa cywilizacya nie odjęła jeszcze sumienia. Przysięga nie straciła znaczenia, zabija jeszcze serce kłamliwe. Zamiast czarnych świec nie płonie jeszcze cynizm: los opluł duszę tych ludzi, ale jej jeszcze nie wynaturzył.

Przeto my, ucywilizowani, bez przesądów, niewierzący w anioła śmierci i nielękający się „próby“ przy czarnych świecach, patrzymy z pewnem zdziwieniem na te ciemne masy, pytając, kto posiada większą broń przeciw kłamstwu, oni, czy my?

Ciemnota jest rzeczą złą. Ale co warta taka cywilizacya, w której słońcu chodzi cynizm krokami sprawiedliwego, a kłamca przywyka do patrzenia prosto w oczy?

Feldman napisał dobry dramat. Teatr p. Przybylskiego wywiązał się z zadania sumiennie a pp. Oskar i Adwentowicz grali doskonale.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

ENCYKLOPEDYA rolnicza z. 84 — Orgelbranda z. 86.

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ P. Chmielowskiego, dawno oczekiwana, tom I (253 str.). „Biblioteka dzieł wyborowych,“ w której ta praca wychodzi, podniosła cenę jej pojedynczych tomów do 2 rubli.

KSIĘGA DLA WSZYSTKICH (?), nakład J. Ciechińskiej (275 str. cena 80 kop.). Jest to zbiór drobnych powiastek, poezyj i artykułów w rozmaitych przedmiotach. Książka pożyteczna do czytania.

PRASA. Czasopismo geograficzno-etnograficzne, *Wisła*, przeszło pod kierownictwo E. Majewskiego. Redakcya odwołuje się do ogółu o poparcie, którego wydawnictwu dotąd skąpiono.



Na szczycie.

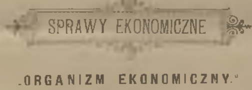
Wszedłem w cudów krainę. Pierś szerzej od-[dycha,
Wzrok wylata ku wirchom bielejącym w śniegu,
Ku skał zębatym złomom, sterczącym w szeregu,
Jak archaniołów armia, skamieniała, cicha,
Pokutująca wieki, tu, u niebios progu,
Za bunt przeciwko Panu swojemu i Bogu.

Od dzieciństwa myśl moja leciała w te strony,
Gdzie z szumem po skał zrębach toczą się potoki,
Kiedy na dno przepaści, jak bezmiar głębokiej,
Wędrowca cichym śpiewem wabią dziwożony
I w duszy jego budzą tęsknotę nieznaną
Za sferą z snów nadziemskich w marzeniach [utkaną.

Od dzieciństwa tęskniłem za wami, o góry,
Wasz obraz wymarzony w sercu nosił młodem,
Aż wreszcie dziś — wiatr halny przelatuje spo-[dem,
Nade mną tylko niebo błękitne bez chmury,
Pode mną skały dzikie, jak gniazd rumowiska
I ścieżka nad przepaścią stroma, wązka, śliska.

Nowy świat mi odsłonił swe groźne oblicze
I wkracza do mej duszy, przejmując ją dreszczem.
I czuję pod potężnem tchnieniem hal, że jeszczem
Zdolny kochać, jak gdybym serce miał dziewicze,
Że natura mi matką, siostrą i kochaniem,
Że chwila ta jest dla mnie — ducha zmartwych-[wstaniem.

Władysław Bukowiński.



„ORGANIZM EKONOMICZNY.“

Człowiekiem gorąco przejętym ideą jest pan Jan Owsiński, a co najważniejsza — wierzy w urzeczywistnienie swych planów, marzeń i usiłowań. To jest bardzo ważne i z tego względu należy mu się wielkie uznanie. Na mocy własnych doświadczeń, połączonych z kombinacyami teoretycznemi, opracował nowy system rolnictwa, wywołał niedowierzania i krytyki, ale podobno system ten jest cudowny. Pola, według niego uprawione i zasiane, wyglądają jak piękna oaza śród pustyni, tj. śród szerokich „przestrzeni pól, dotkniętych lichym urodzajem. Do Hetmanówki jeżdżą ciekawi, oglądają to dziwne zjawisko i kiwają głowami. Przed kilku laty p. Owsiński obmyślił plan ekonomicznego i społecznego urządzenia bytu mas ludności — projekt, zabarwiony tęczą fantazyi. Twórca jego jednak, niezrażony, póty pracował, aż stworzył obecnie i wprowadził w życie tę organizacyę w guberniach południowo-zachodnich. Jest to fakt niebywały dotąd, więc już choćby z tego względu zasługuje na uwagę. Przyjrzyjmy się tedy zasadzie owej organizacyi *).

„Wskutek ogólnego upadku ekonomicznego gospodarstw rolnych — czytamy w ustawie projektodawcy — również wobec zastoju, krachów i bankructw w przemyśle i handlu, częstych upadłości kapitalistów i przymusowego bezrobocia oraz głodu robotników, wskutek bankructw lub niedostatecznych rezultatów przedsięwzięć, Towarzystwo akcyjne „Organizm ekonomiczny“ zamierza ugruntować produkcyę przemysłowo-rolną na trwałym fundamencie, zabezpieczyć ją raz na zawsze od kryzysów ekonomicznych, bankructw i zawodów, a tem samem zabezpieczyć uczestnikom „Organizmu,“ jak akcyonaryuszom tak i robotnikom oraz ich rodzinom, raz na zawsze trwały i niezmienny dobrobyt.“

Ponieważ przyczyną przesileń ekonomicznych jest zależność produkcyi rolnej od rynku wszechświatowego, zmuszająca wytwórców do sprzedawania własnych produktów i kupowania cudzych, więc Towarzystwo p. Owsińskiego ma uregulować swoją produkcyę tak, ażeby można było zaopatrywać *jedynie wszystkie bez wyjątku* potrzeby akcyonaryuszów i robotników wraz z ich rodzinami w ten sposób, aby oni, wytwarzając wszystko, co im jest potrzebne, nie byli zmuszeni sprzedawać własnych produktów i kupować cudzych na rynku. Jedynie dla zapłacenia podatków itp. może być sprzedaną część produktów. Mając gospodarstwa rolne i wiele fabryk różnorodnych, Towarzystwo może sprzedawać w tym celu po dobrej cenie te produkty, które w danej chwili mają wielki popyt na rynku. Również Towarzystwo może zamienić zapłatę podatków na dostawę zboża, sukna, obuwia itd. dla wojska. Ponieważ praca ręczna marnuje bezowocnie wiele sił ludzkich i daje produkty gorszego gatunku, nadto, ponieważ drobne gospodarstwa rolne i fabryczki zużywają sił roboczych i kapitału stosunkowo więcej, niż gospodarstwa i fabryki wielkie, więc w „Organizmie ekonomicznym“ mogą być wyłącznie: 1) wielkie gospodarstwa rolne, gdzie są możliwe: zastosowanie maszyn, podział pracy i płodozmian i 2) wielkie fabryki, które, mało zużywając sił ludzkich i środków pieniężnych, dają dobre produkty.

Gospodarstwa rolne „Organizmu ekonomicznego“ powinny dostarczać: zboże i inne produkty pokarmowe dla uczestników, tudzież materyały surowe dla fabryk. Z tego powodu gospodarstwa rolne powinny być odpowiednio zorganizowane. Fabryki muszą zaspakajać wszelkie główniejsze potrzeby stowarzyszonych, a więc przedewszystkiem powinni oni mieć młyn, garbarnię, fabrykę obuwia maszynowego, fabryki sukna, płótna, perkalu i innych tkanin, zakład krawiecki, fabrykę worków, fabrykę powrozów, cukrownię, warsztaty mechaniczne, spichrz lub elewator do przechowywania zboża. Stopniowo mają powstawać inne fabryki dla zupełnego zaspokojenia wszystkich potrzeb uczestników. Gospodarstwa rolne, oprócz dostarczania materyału surowego dla fabryk, oprócz produktów pokarmowych, jak zboże, nabiał itd., powinny dawać: owoce, jarzyny, miód, wina, bawełnę, jedwab (hodowla morw i jedwabników).

Te wszystkie fabryki i gospodarstwa, połączone w całość, stanowią „Organizm ekonomiczny.“ Uczestnikom jego zabrania się mieć własne gospodarstwa na terytoryum Towarzystwa, z wyjątkiem sadownictwa, ogrodnictwa, jedwabnictwa, amatorskiej hodowli kwiatów, ptaków, zwierząt. Wszystkie potrzebne do życia produkty uczestnicy otrzymują z „Organizmu ekonomicznego“ (dla siebie i rodziny), wskutek czego własne małe gospodarstwa, jako sprzeczne z ideą tej organizacyi i nieracyonalne, są zbyteczne i szkodliwe. Towarzystwo powinno mieć wspólne piekarnie i kuchnie pod zarządem specyalistów, gdzie uczestnicy mogą żywić się z rodzinami (lub na żądanie otrzymywać produkty i gotować jedzenie w domu), nadto wspólne łaźnie parowe i pralnie.

Stosownie do istniejących przepisów prawnych, w „Organizmie ekonomicznym“ będą: szkółki elementarne dla dzieci uczestników, niższe szkoły rolnicze i techniczne, gimnazyum i szkoła realna dla

*) Z powodu tego projektu pisałem przed paru laty artykuł w *Prawdzie*.

przygotowania przyszłych kierowników, wykształconych w akademiach, uniwersytetach, instytutach itd. Grupa, stworzona z kilku „Organizmów“ pojedynczych, zaprowadza wspólne: szkoły techniczne, agronomiczne i uniwersytet. Do czasu utworzenia grupy organizmów ekonomicznych zdolniejsi uczniowie będą posyłani na koszt stowarzyszenia do istniejących wyższych zakładów naukowych. Nauczyciele i profesorowie organizmu ekonomicznego korzystają wraz z rodzinami ze wszystkich przywilejów uczestników i pracowników tego związku. Akcye organizmu są małe, dla wszystkich dostępne: dziesięciorublowe. Właściciel dziesięciu akcyj ma prawo głosu na zebraniach akcyonaryuszów. Dziesięciu właścicieli akcyj pojedynczych posyła pełnomocnika z prawem głosu. Akcyonaryusze otrzymają dywidendę produktami fabryk i gospodarstw rolnych lub też na żądanie gotówką, po sprzedaniu tych produktów. Akcyonaryuszami organizmu ekonomicznego mogą być więksi i mniejsi właściciele ziemscy oraz robotnicy. Kapitaliści nabywają akcye za gotówkę, właściciele ziemscy otrzymują je wzamian za ziemię w stosunku do jej wartości. Przytem drobne działki włościańskie przyjmują się wraz z przyległemi, tj. od całej gminy lub pewnej jej części tak, ażeby było możebne na połączonych działkach wielkie gospodarstwo. Cząstki drobne pojedyncze przyjmują się tylko wtedy, gdy przylegają do gruntów organizmu ekonomicznego i mogą z nim tworzyć jedną całość. Warunek ten jest niezbędny ze względu na nieracyonalność gospodarstw drobnych. Akcyonaryusze wnoszą pieniądze za akcye do Banku państwa i stamtąd otrzymują procenty do czasu rozpoczęcia robót w „organizmie.“ Właściciele ziemscy, życzący wnieść swoją ziemię zamiast akcyj, robią podania do komitetu organizacyi, które mogą być przyjęte ze wszystkich gubernij Rosyi europejskiej i azyatyckiej, a nawet z zagranicy, za zgodą rządów odnośnych. Ogólne zebranie akcyonaryuszów większością głosów wybiera członków rady zarządzającej, umocowanych dla urządzenia organizmu ekonomicznego. Rada owa natychmiast po wyborach przystępuje do budowy fabryk i urządzenia gospodarstw rolnych, zgodnie z ustawą. Na początku robót rada może płacić robotnikom gotówką i również za gotówkę kupować ziemię dla organizmu ekonomicznego, gdy jej jest mało.

Po zebraniu kapitału, ziemi i robotników na urządzenie pierwszego organizmu ekonomicznego, rada nie przestaje gromadzić środków w gotowiźnie, naturze i sile roboczej, ażeby następnie tworzyć nowe związki. Tym sposobem kilka pojedynczych może się połączyć w „grupę organizmów ekonomicznych,“ dla której będą dostępne: własne kopalnie żelaza i węgla, wielkie fabryki lokomobil, parostatków itd., jak również wyższe zakłady naukowe.

Po urządzeniu pierwszych organizmów ekonomicznych sprzedaż akcyj nie ustaje—głosi § 32 — „ponieważ byłoby pożądanem, aby siecią organizmów mógł być pokryty cały świat.“ Grupy organizmów ekonomicznych zachowują między sobą łączność i mogą nieść pomoc wzajemną w razie nieszczęść, wynikłych skutkiem pożarów, gradobicia, nieurodzajów, wylewów itp. Tym sposobem dzisiejsza forma wszelkich ubezpieczeń będzie zbyteczną.

Robotnicy za swoją pracę otrzymują: oddzielny „dom hygieniczny“ z ogrodem, opałem i oświetleniem: zupełne utrzymanie dla całej rodziny, wliczając w to żywność, obuwie, odzież, bieliznę itd., naukę dla dzieci w szkołach organizmu. Rada zarządzająca wraz z przedstawicielami robotników decyduje, po ilu latach pracy robotnik otrzymuje zupełne zapewnienie bytu dla siebie i rodziny, bez obowiązku pracowania. W razie śmierci robotnika dzieci jego mają zupełnie zapewniony byt aż do czasu pełnoletności. Z tych samych praw korzystają dzieci robotnika chorego lub niezdolnego do pracy. Produkty fabryk i gospodarstw, po zaspokojeniu potrzeb robotników i pozostawieniu zapasu, wreszcie po odliczeniu podatków, dzielą się między akcyonaryuszami w naturze lub w gotówce, na żądanie.

Ilość godzin roboczych określa rada zarządzająca. Maximum nie może przewyższać ośmiu godzin na dobę. „Fabryki i gospodarstwa przy nowych maszynach udoskonalonych — czytamy w dopisku § 38 — pozwolą skrócić godziny roboty do 6 lub 5 na dobę, a może mniej.“ Racyonalna pomoc lekarska stale istnieje w organizmie ekonomicznym. Lekarze korzystają z praw robotników stowarzyszenia.

Takie są zasadnicze podstawy działalności przyszłych stowarzyszeń, o które p. Owsiński walczył z opinią publiczną od r. 1889, aż nareszcie uzyskał zatwierdzenie ustawy (prawdopodobnie ze znacznemi zmianami) i oto świeżo stworzył pierwszy „organizm ekonomiczny,“ którego akt notaryalny podpisali: twórca stowarzyszenia i pp. Wacław Sikorski, Józef Janczewski, Ignacy Żuchowski, Cwietkow, Konstanty Langert, Stanisław Skalski, Lucyan Jurkiewicz i Stanisław Dobrowolski.

Pomijamy szeroki plan i szlachetne marzenia p. Owsińskiego, usiłującego siecią „organizmów ekonomicznych“ pokryć cały świat, pomijamy to wszystko, co jest i pozostanie jego marzeniem, co się nie zharmonizuje ani z dzisiejszym, ani z przyszłym ustrojem społecznym, lecz podkreślamy sam fakt pierwszej tego rodzaju u nas kooperacyi. Właściwie oprócz nowej nazwy i wielkich aspiracyj związki na takiej ustawie oparte, nie są niczem innem, jak stowarzyszeniami współdzielczemi, które dziś już szeroko i z powodzeniem rozwinęły się za granicą. Owszem, niech więc p. Owsiński zawiązuje „organizmy“ i ich grupy, niech sobie marzy o ekonomicznem i społecznem odrodzeniu świata w ten sposób, niech mocno wierzy w możliwość wykonania tego, czego nigdy nie potrafi w rzeczywistości wykonać. W każdym razie będzie to działalność pożyteczna, bo może ona zaprawić społeczeństwo do zrzeszania się, przygotować grunt do pracy racyonalniejszej i intensywniejszej. Jako bodziec, idea dobrze znana w praktyce gdzieindziej, a ubrana w rozłożysty i ozdobny płaszcz przez p. Owsińskiego — może tedy mieć pewne znaczenie.

Zen. Piel.

ROBOTNICY WĘDROWNI W ROLNICTWIE.

II.

Nadmieniliśmy, że na stosunkach robotników wiejskich do dziedziców w prowincyach wschodnich państwa pruskiego znać jeszcze mocno ślady dawnych stosunków pańszczyźnianych. Jest to zrozumiałem wobec tego, co powiedzieliśmy o przebiegu wyzwolenia włościan, mianowicie że proces ten trwał lat dziesiątki, wskutek czego dziedzice mogli pokierować sprawą tak, aby mieli do rozporządzenia siłę roboczą dawnych pańszczyźniaków.

Dziś stosunki przedstawiają się tak *): Rozróżniać należy cztery zgoła odmienne kategorye robotników wiejskich: czeladź dworską, „ordynaryuszów,“ „komorników“ i „wolnych najmitów.“ Pierwsza składa się z parobczaków i dziewek zakontraktowanych na rok: są oni na utrzymaniu dworu. Prócz posług osobistych bywają używani do rozmaitych czynności ściśle określonych: fornale, pastuchy, dziewki do krów i trzody itd. „Ordynaryusze“ (albo „deputaci,“ jak ich nazywają gdzieniegdzie) nie otrzymują jadła we dworze, ani mieszkania, ale dostają „deputat,“ czyli „ordynaryę“ i mieszkają z rodziną (są to wyłącznie ludzie żonaci) w domach, będących własnością dworu. Prócz stałej płacy rocznej i ordynaryi, tj. pewnej ilości zboża i ziemniaków, mają zwykle — acz nie zawsze — szmat ziemi pod ogród i często — lecz i to nie zawsze — prawo pasania krowy na dworskiem pastwisku lub też żywienia jej na dworskiej oborze i paszy. Pełnią oni zwykle funkcye fornali, ratajów, owczarzy, włodarzy, ogrodników itp. Z potomstwa ich rekrutuje się czeladź dworska.

Trzecią, najciekawszą kategoryę, stanowią „komornicy.“ Położenie ich różni się przedewszystkiem o tyle od poprzednich, że nie pobierają stałej płacy rocznej, są „wolnymi najmitami,“ otrzymują szczególną płacę roboczą. Mieszkają w zabudowaniach, będących własnością dworu; po części są to małe chałupy, obliczone na jedną lub dwie rodziny, po części większe domy, w których siedzi na komornem, podobnie jak w mieście, po kilka rodzin. Nie są to już tradycyjne „czworaki,“ lecz prawdziwe koszary. Zasadą jest, że dwór takiego mieszkania nie wypuszcza inaczej, niż pod warunkiem, że komornik będzie stawiał się albo na każde zawołanie do robót, albo obowiąże się do pewnych zajęć i to przy oznaczonej z góry na cały czas płacy dziennej. Przytem do roboty przychodzić musi nie sam, lecz albo z całą swoją rodziną, albo też jedną, dwiema, trzema osobami, które specyalnie najmuje, z „szarwarkiem,“ jak nazywają dotąd w niektórych okolicach. Tu więc mamy niezaprzeczenie ślady stosunku pańszczyźnianego. Tej kategoryi robotników rolnych, związanych kontraktem, obejmującym ich rodzinę, zgoła nie zna zachód: jest ona właściwością dzielnic wschodnich. Człowiek nieżonaty wogóle nie może zostać komornikiem, ani też golysz zupełny, gdyż musi on mieć jaki taki dobytek ruchomy, sprzęty domowe, krowę, jedną lub kilka sztuk trzody, zająć parobka lub dziewkę. Jego wynagrodzenie stanowi przedewszystkiem grunt, otrzymany od dworu. Dawniej dawano ziemi sporo, 3—6 mórg, dziś uszczuplono wymiar. Przytem nie należy wyobrażać sobie, że komornik dostaje zagon ziemi do swego zupełnego rozporządzenia, że gospodarzy na nim, niby dzierżawca. Tak bywało dawniej; dziś, kiedy na obszarze dworskim pozaprowadzano płodozmian, wyznaczają mu kawałek gruntu pod żyto, drugi pod ziemniaki gdzieś śród pól dworskich i działki te zmieniają się co rok stosownie do płodozmianu, zaprowadzonego w danych dobrach. Skutkiem tego komornik nie może czuć się przywiązanym do swego zagona, który uprawia dwór, a on go tylko zasiewa i sprząta. Jedynie szmatek ogrodu, o ile go dwór daje, a bywa to coraz rzadszem — jest w posiadaniu jakby dzierżawnem komornika. Prócz tego otrzymuje komornik płacę dzienną, naturalnie mniejszą, niż najmita zupełnie wolny. Jako przeciętną płacę, zdaniem prof. Webera, można liczyć: dla mężczyzny latem 40 do 60, zimą 30 do 45 fenigów, dla kobiet i szarwarku o 10 fenigów mniej. W niektórych okolicach istnieje prócz tego zwyczaj płacenia za młockę nie gotówką, lecz zbożem, przyczem robotnik od cepów otrzymuje szesnasty korzec, od maszyny — trzydziesty.

Charakterystycznem jest, że komornik obowiązuje się przychodzić do roboty na każde zawołanie, i to nie sam, lecz z rodziną albo z „szarwarkiem,“ tj. z parob-

*) Dajemy tu schemat ogólny, który ulega rozmaitym drobnym zmianom w każdej dzielnicy. Położenie komorników np. inne jest cokolwiek na Szlązku, a inne w Poznańskiem.

kiem lub dziewką, których utrzymywać musi przez cały rok, pracodawca zaś nie bierze na siebie żadnego zobowiązania formalnego, że mu da zarobek. Dopiero w ostatnich czasach, gdy trudniej już bywa o komorników, dziedzice zgadzają się na zagwarantowanie zarobku w oznaczoną ilość dni.

Widzimy tedy, do jakiego stopnia różnią się warunki znacznej kategoryi najmitów wiejskich od zwykłych stosunków najmu robotników: siła całej rodziny robotniczej musi być oddaną do rozporządzenia pracodawcy; najmita musi ze swej strony utrzymywać najmitę; dalej staje się on gospodarzem, jest zainteresowany w plonach i ponosi pewne ryzyko (niech nie urodzi się zboże na zagonie, niech padnie krowa, a cały byt komornika jest zagrożony), nie mogąc wszakże rozporządzać dowolnie swoim czasem, ani gospodarować według swego uznania. Że te warunki nie nęcą rolnika, dziwić się nie można. Szczególny czynnik psychologiczny, chęć posiadania własnego kawałka ziemi i przywiązanie do niej, nie istnieje tu: komornik własnej roli nigdy nie posiada; nawet nie mieszka w chacie wieśniaczej, lecz w koszarach dworskich.

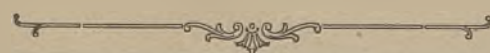
Prócz tych trzech kategoryj robotników istnieją w prowincyach wschodnich wolni najmici, a dzienni po dworach i u drobnych gospodarzów. Niektórzy ekonomiści radzą nawet właścicielom ziemskim parcelować pewną część obszaru dworskiego, aby w ten sposób mieć pod bokiem ludność wiejską zawsze gotową do roboty najemnej. Okazuje się jednak, że na zbyt małych działkach tacy gospodarze a napol — najmici istnieć nie mogą, bo nie ma mowy o racyonalnem gospodarstwie, właściciele zaś lub dzierżawcy większych już nie szukają zarobku po dworach, gdyż siły robocze ich rodziny ledwie starczą na uprawę własnej roli. Można przyjąć, że wolne siły robocze są zbywające w rodzinach, które mają mniej, niż dwa hektary, i to tylko jeżeli są liczne. Takich zaś gospodarstw posiadających do dwóch hektarów jest sporo w Poznańskiem i na Szląsku (126,000 i 190,000 liczono w roku 1895): istnieje zatem pewien zasób wolnych najmitów, lecz okazuje się, że z rodzin tych wychodzi właśnie ogromna ilość parobków i dziewcząt do Saksonii. Dlaczego — dowiemy się niebawem.

Jako szczególną cechę wschodnich prowincyj pruskich, wywierających niewątpliwie wpływ na stosunki robotnicze, wymienić też wypada ślady patrymonialnej władzy dziedziców. Istnieją tu bowiem obok gmin, t. zw. „Gutsbezirks," w których o wszelkich sprawach, jakie zwykle podlegają kompetencyi zarządów gminnych, rozstrzyga właściciel dóbr. W jego więc rękach spoczywa po części władza policyjna, on rozstrzyga kwestye szkolne, parafialne itp. W końcu nie należy też zapominać obowiązującej dotąd w Prusiech „ustawy o czeladzi" (Gesindeordnung), która datuje się od roku 1854 i stawia służbę domową i czeladź—a do czeladzi zaliczono również komorników i robotników wiejskich podobne zajmujących stanowisko — w ścisłej zależności od pracodawcy. Ustawa ta wzbrania robotnikom wiejskim prawa koalicyi, surową karą grozi za niedotrzymanie kontraktu i za drobne przewinienia; uświęca nawet wyraźnie bicie robotnika przez dziedzica lub jego zastępcę.

Jeżeli weźmiemy wszystko to pod uwagę, to dostrzeżemy łatwo, jak daleco cały stosunek robotnika wiejskiego do pracodawcy różni się od prostego i jasnego stosunku najmu powszechnego w przemyśle: umowa dotyczy nie osobnika, lecz całej rodziny; całe gospodarstwo domowe robotnika stosowane być musi do warunków najmu; zależność od pracodawcy jest większą wskutek owej przestarzałej ustawy. Stosunek taki pozostawać musi w silnym rozdźwięku z poczuciem niezależności i godności osobistej, właściwemi bądź co bądź człowiekowi naszych czasów. Wszak robotnik wiejski dziś nie pozostaje odciętym od świata: czytuje on książki i gazety, przygląda się odmiennym stosunkom chociażby w czasie służby wojskowej, wie, co się dzieje w miastach, po fabrykach, gdzie pracują jego dzieci lub bracia. Już ten czynnik psychiczny musi wywierać wpływ i nietrudno zrozumieć, dlaczego „kto żyw biegnie do firmy F." - jak wyraża się ów cytowany właściciel 90 morgów. I to pewne, że owe resztki ustroju pańszczyźnianego — ta zwiększona zależność najmity od przedsiębiorcy — przeciwdziałały wzrostowi płacy roboczej.

(C. d. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.



W DALI.

Płońsk. Z inicyatywy kilku osób przy poparciu ministeryum skarbu powstało w Płońsku Towarzystwo kredytowe, rozporządzające na początek kapitałem 6,250 rb., z których 3,000 z pożyczki Banku państwa, 3250 zaś z funduszów osób prywatnych. Ma ono na celu dostarczanie członkom możności: 1) otrzymania na nieuciążliwych warunkach pożyczek na potrzeby gospodarcze; 2) umieszczania oszczędności na procent składany; 3) korzystania z pośrednictwa Towarzystwa przy kupnie przedmiotów, koniecznych do gospodarstwa, tudzież przy sprzedaży produktów rolniczych. Płońskie Towarzystwo kredytowe w ciągu czteromiesięcznego istnienia udzieliło do d. 1 maja rb. pożyczek 106 osobom na sumę 8,755 r. b., wkładów zaś przyjęło na 3,000 rb. W liczbie dłużników kasy pierwsze miejsce zajmują rzemieślnicy (szewcy, rymarze, krawcy, stolarze, kowale), potem kupcy, właściciele domów, drobni handlarze, drobna szlachta, posiadająca więcej niż 60 mórg gruntu, a więc niemająca prawa korzystania z gminnych kas pożyczkowo-oszczędnościowych, wreszcie urzędnicy.

Petersburg. Rada państwa zatwierdziła już projektowany przez ministeryum oświaty „Instytut wschodni" we Władywostoku. Celem jego będzie zapewnienie wychowańcom wykształcenia fachowego, niezbędnego zarówno dla urzędowania w instytucyach administracyjnych, jak i w przedsiębiorstwach handlowo-przemysłowych Rosyi wschodnio-azyatyckiej i państw ościennych. Wychowańcy mają gruntownie znać języki: chiński, japoński, koreański, mongolski i mandżurski. Kurs nauk będzie czteroletni i od 2-go kursu dzieli się na 4 wydziały: chińsko-japoński, chińsko-koreański, chińsko-mongolski i chińsko-mandżurski. Na wszystkich kursach wykładane będą: teologia, język chiński, angielski (i nieobowiązkowo francuski), geografia, etnografia, ustrój polityczny i religia Chin, Japonii i Korei, ustrój Chin i ich przemysł i handel, dzieje trzech państw powyższych, geografia handlowa Azyi wschodniej, ekonomia polityczna, prawo międzynarodowe, ustrój polityczny państw europejskich, prawo cywilne i handlowe, rachunkowość, towaroznawstwo. Są to przedmioty wspólne dla wszystkich kursów. Na wydziałach zaś wykładane będą nadto przedmioty specyalne. Instytut pozostawać będzie w zawiadywaniu zwierzchniczem ministeryum oświaty, bezpośrednim — generał-gubernatora nadamurskiego. Wstęp zapewniony wychowańcom szkół średnich wszelkich typów. Podczas feryj uczniowie będą wysyłani do Chin, Japonii itd. dla praktycznej nauki języków. Odnośnie do powinności wojskowej Instytut daje prawa na równi z innymi wyższymi zakładami naukowymi.

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

78) Noc świętojańska nad Niemnem.
79) Powódź.
80) Sylwetka mieszczańska.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na sanatorya dla suchotników wpłynęło do Towarzystwa hygienicznego w Warszawie dotychczas ogółem 38,600 rb.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż młodzież ucząca się może brać udział w charakterze członków stowarzyszeń: dobroczynnych, sportowych i artystycznych, ale bez prawa głosu na zebraniach i pod warunkiem, że młodzież z wyższych zakładów naukowych otrzyma w tym celu zezwolenie najbliższej swej władzy szkolnej. Co się zaś tyczy uczniów szkół średnich, to ci, oprócz zezwolenia władzy szkolnej, winni mieć również pozwolenie rodziców lub opiekunów. Wyłączeni są w danym razie uczniowie szkół wojskowych, duchownych i marynarki.

Zapisy. *Praw. Wiestn.* donosi: „Dr. teologii ks. Jan Piłsudzki na mocy zapisów z d. 5 marca 1784 r. i z d. 23 lutego 1791 r. ofiarował na konwikt szkoły kromskiej (obecnie gimnazyum Kowieńskie) kapitał, który ze składanymi procentami w chwili obecnej wynosi rubli 21.236. Zapisodawca powyższy uczynił zastrzeżenie, ażeby procenty od kapitału szły na wychowanie w konwikcie dwudziestu młodzieńców, synów szlachty, i aby na każdego wydatkowano rocznie po 250 złp., czyli po rb. 37 kop. 50, za co każdy wychowaniec miał otrzymać stół, mieszkanie i guwernerów. Rotmistrz b. wojsk polskich, Franciszek Kontrym, testamentem, zdziałanym w d. 24 kwietnia i uzupełnionym w d. 10 maja 1815 r., przeznaczył rb. 3,870 na wychowanie trzech ubogich uczniów w tejże szkole w ten sposób, aby rodzice dawali im tylko ubranie. Wobec tego, że otwarcie konwiktów lub ogólnych stancyj uczniowskich obecnie jest zupełnie niemożliwe, ministeryum oświaty uznało za konieczne wyjednać Najwyższe zezwolenie na zmianę woli testatorów w ten sposób, aby z procentów od sum powyższych były ustanowione stypendya."

Szkoły. Ministeryum rolnictwa zwróciło się do wybitniejszych ziemian i innych ludzi światłych z prośbą o nadesłanie uwag w sprawie szkół wyższych rolniczych gospodarstwa rolnego i ich typu, najbardziej odpowiadającego potrzebom gospodarstw w Rosyi. W odpowiedzi ministeryum otrzymało bardzo obfity materyał, złożony z uwag i spostrzeżeń, który będzie roztrząsany na naradach osobnych pod przewodnictwem ministra.

— Dzienniki rosyjskie podają następującą wiadomość: „Celem osiągnięcia możliwie szybkiej rusyfikacyi obrębu zakaspijskiego ministeryum oświaty zamierza urządzić w 9 miastach tamtejszych szkoły rosyjsko-tubylcze, na wzór istniejących w Turkiestanie, w których współrzędnie z językiem rosyjskim będą wykładane języki narodowości miejscowych.

Ministeryum oświaty pozwoliło osobom postronnym płci żeńskiej uczęszczać do 8-ej klasy gimnazyów żeńskich rządowych w charakterze wolnych słuchaczek; rozporządzenie otrzymuje moc obowiązującą z początkiem nadchodzącego roku szkol.

Prasa. Dnia 1 lipca zaczął znowu wychodzić *Goniec łódzki*. Wydawca p. H. Lubieński, redaktor p. Roman Wierzchleyski.

Gospodarka miejska. Opłaty za wodę i prawo używania kanałów w Warszawie dały dochodu: 1895 r. 984,000 rb. czyli o 184,000 więcej, niż w roku poprzednim; 1896 r. przewyżka dała 138,000 w stosunku do roku poprzedniego. Rok 1897 dał przewyżki 165,000, wreszcie r. 1898 — 207,000 rb. W roku bieżącym za pierwsze półrocze spodziewany jest dochód 1,630,000 rb.

Koleje i komunikacye. Na odnodze Ostrołęcko-Piławskiej kolei Nadwiślańskiej woda podmyła plant między Kołbielą a Piławą na przestrzeni mi-

lowej, skutkiem czego między Nowomińskiem a Pilawą wstrzymano komunikacyę zupełnie.

— Po zbudowaniu mostu tymczasowego na kolei Moskiewsko-Brzeskiej między stacyami Katyń i Gusino pod Smoleńskiem, przywrócono prawidłową komunikacyę.

Wystawy i zjazdy. „Instytut literacki" w Budapeszcie urządza na wystawie paryskiej r. 1900 w dziale węgierskim osobną wystawę dzieł Jokaja. W tym celu zwrócił się między innymi do wydawców polskich o nadesłanie po egzemplarzu przekładów.

Przemysł i handel. Przemysłowcy belgijscy po zbadaniu u nas warunków wytwórczości szewckiej i handlu obuwiem założyli w swo.m kraju Towarzystwo akcyjne pod firmą: „Manufacture française de Chaussures a Varsovie," z kapitałem 10 milionów franków. Na jego czele stoją pp.: Bouvit, Petit, Ponchon oraz M. Luksemburg z Warszawy. Przystępuje ono do urządzenia fabryki, która stanie na Kamionku (na rogu ul. Gocławskiej i Kamionkowskiej). Towarzystwo kupiło już 30,000 łokci placu. Fabryka będzie miała na początek 600 robotników, a na wiosnę przyszłego roku 1,500. Wiadomość tę podaje *Kuryer War.*

— Od Nowego roku będzie zaprowadzona wszędzie sprzedaż marek oszczędności po 5 i 10 kop.

— Z powodu widocznych strat dostawców na cenach dotychczasowych komitet ministrów uchwalił powiększenie ceny za okowitę, dostarczaną na potrzeby monopolu rządowego r. 1899 przez gorzelnie w guberniach: Kieleckiej, Lubelskiej, Łomżyńskiej, Płockiej, Radomskiej, Warszawskiej, Grodzieńskiej, Mohylowskiej i Charkowskiej.

Zmarli. Wiktor Cherbuliez, w Paryżu, członek Akademii francuskiej, znany krytyk i powieściopisarz.

Odpowiedzi Redakcyi

Kochającemu. P. Wyrażenie to jest błędne i w żadnym razie urygować go nie można.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Іюня 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.